Nr. 27. Warszawa, dnia 21 Czerwca (3 Lipca) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2. rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ROK NARAD.

Ustało w chwili obecnej życie gorączkowe wszelkich ognisk organizacyi ekonomicznej i społecznej; wakacye w całej pełni, sale posiedzeń publicznych zamknięto, skończył się rok obrad. Przebiegając w myśli „porządek dzienny" wszelkich posiedzeń, mimowoli szukamy rezultatów praktycznych. Sale obrad i prezydya, to przecież retorty, w których wszelkie substancye lotne i płynne chemii życia społecznego w zakresie teoretycznym przerabiają się na ciała stałe życia realnego. Stamtąd projekty i wnioski — para pomysłów, wynik potrzeb istotnych, po przejściu przez chłodzące wężownice formalistyki—skrapiają i użyźniają jałowy z natury lub wyjałowiony grunt istnienia materyalnego i moralnego mas ludności.

Cały rok obradowano w kilku instytucyach: w sześciu sekcyach Towarzystwa przemysłu i handlu, w Towarzystwie dobroczynności, Towarzystwie pracowników handlowych i przemysłowych, Towarzystwie ogrodniczem, Pszczelniczem, Przeciwżebraczem, Towarzystwie kredytowem ziemskiem, Kredytowem miejskiem, Towarzystwie opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi itd. Kilka tysięcy osób brało udział w tych naradach i reprezentowało interesy niemal całego kraju; kilkuset radców, prezesów, wiceprezesów i ich zastępców układało „porządki dzienne," wnosiło ważne sprawy, pozwalało odczytywać referaty najróżnorodniejsze, dawało głos członkom.

Jakież wyniki tej pracy języka i głowy? Sekcya rolna nie wprowadziła w życie żadnego przedsięwzięcia, które po zjednoczeniu sił wzmocniłoby podstawy bytu ogółu rolników; nie wykołatała w sferach właściwych nic, coby ułatwiło ten rozwój na drodze formalnej. Praca sekcyi rzemieśl. była jałowszą, niż kiedykolwiek. Nie zrobiła ona nic, zupełnie nic, coby mogło polepszyć warunki terminatorów i czeladników, coby wzmocniło środki oświaty dziatwy tej kategoryi ludzi. Nie dopomogła w najmniejszej cząstce do podniesienia rzemiosł, do walki z tandetą, do rozwoju i zdobycia rynków nowych. Wypowiedziano tylko dużo czczych słów, stoczono mnóstwo sporów bezcelowych. Sekcya handlowa, zbierająca się najrzadziej, przypadkowo, dała słuchaczom kilka wykładów z ekonomii politycznej. Sekcya techniczna poruszyła kilka spraw ważnych, dotyczących budownictwa i mieszkań. O chemicznej i cukrowniczej nic nawet szczególnego nie mamy do zaznaczenia.

Towarzystwo pracowników handlowych i przemysłowych ujawniło tylko dążność do ożywienia swej działalności. Towarzystwo farmaceutyczne myślało o zyskach przedsiębiorców. Ogrodnicze — radziło przeważnie o swych finansach i interesach domowych; nic zrobiło na drodze praktycznej nic, coby dało możność podźwignięcia ogrodnictwa krajowego. Pszczelniczo-ogrodnicze, jako instytucya nowa, daje tylko nadzieję, a na drodze praktycznej stworzyło wykłady. Towarzystwo kredytowe miejskie z powodu dwudziestopięciolecia swego istnienia wydało sprawozdanie, wykazujące najobfitszy rezultat w życiu praktycznem—rozwój budownictwa. Ale to tylko interes pewnej grupy posiadaczów - przedsiębiorców. Ogół nic nie skorzystał na tem; przeciwnie — stracił wiele przez wzrost komornego, pomimo że od działalności tej instytucyi należałoby oczekiwać wprost odmiennych rezultatów. Towarzystwo opieki nad ubogiemi matkami i ich dziećmi nie złagodziło niedoli całych mas matek ubogich, bo zresztą nie można wymagać tego od instytucyi mizernej; jest ona owocem rozrywek filantropijnych ludzi tej kategoryi, którzy usiłują coś robić dla zabicia czasu.

A Towarzystwo dobroczynności? Ono ma najszerszy zakres, ale najmniej robi dla dobra społecznego. Jeżeli zaś widzimy czasem wyraźne ślady ofiarności społecznej, to najczęściej po za granicami Towarzystwa dobroczynności. Najpilniejsze potrzeby, które leżą w granicach obowiązku tej instytucyi, pozostawione są odłogiem. Szpitalik dla dzieci np. tylko dzięki nawoływaniom prasy uzyskał 3,665 rs. zasiłku z ofiarności publicznej; ale gdy to nawoływanie ustało, ustała także i ofiarność, tak dalece, że odnawianie sali operacyjnej w połowie musi być przerwane. O tem Towarzystwo dobroczynności nie wie i wiedzieć nie chce. Nie wie ono także o wielu innych sprawach doniosłych, brakach i niedomaganiach, a jeżeli wie, to patrzy na nie z takiego stanowiska, z jakiego ogół, w poczuciu swego dobra, patrzeć nie może. Bo zresztą jakże być może inaczej, skoro gospodarka miłosierdzia publicznego pozostaje w rękach ludzi, którzy nie mogą ani odczuć, ani zrozumieć potrzeb istotnych; którzy wyrobili sobie poglądy społeczne i etyczne, sprzeczne z potrzebami i rozwojem życia rzeczywistego?

Takie uwagi nasunął nam przegląd w pamięci całorocznej działalności instytucyj naszych. Działalność ta, w znacznej większości nie wychodząca po za drzwi sal obrad i szaf archiwalnych, w których protokóły i referaty spoczywają—nic dała nam w ciągu roku nic realnego; a jeżeli i dała, to taką drobinę i tak mało związaną z rdzennymi warunkami bytu, że trzeba ją uważać jako wynik powierzchownego lub dorywczego traktowania spraw życiowych.

Ktoś, przejęty bezkrytycznem, ślepem uznaniem dla wszystkiego, co robią nasze instytucye społeczne, może nas posądzić o to, że uważamy ich istnienie za zbyte-

czne. Przeciwnie — żądamy tylko większego ich ożywienia i rozwoju; żądamy, żeby one bardziej, niż dzisiaj, były zespolone z życiem rzeczywistem, głębiej wnikały w jego potrzeby i lepiej je zrozumiały. Śledzimy pilnie, rok za rokiem, działalność tych instytucyj, uczęszczamy na posiedzenia nie w charakterze sprawozdawców-reporterów, lecz w celu badania objawów różnorodnych życia naszego. Otóż notowaliśmy nieraz lepsze i gorsze okresy tych ognisk i przyszliśmy do przekonania, że przy pewnej sumie energii i zrozumienia potrzeb można z pożytkiem ogólnym pracować nawet z pomocą tych słabych środków organizacyjnych. Trzeba tylko chcieć i umieć te środki wyzyskać i rozwinąć. To zaś zależy od ludzi, którzy kierują owemi środowiskami naszych spraw społecznych i ekonomicznych, oraz od trafnego powołania wielu współpracowników zdolnych i znających wybornie potrzeby kraju. Takich jednak bardzo wielu, ze szkodą ogólną, stoi zupełnie na uboczu. Niegdyś na pewnem posiedzeniu słyszeliśmy narzekania jednego z członków prezydyum na brak referatów żywotnych. Ktoś na to bardzo trafnie odpowiedział, że trzeba poszukać, trzeba się „zniżyć" i poprosić ludzi odpowiednich, a znajdą się takie referaty. Tymczasem większość naszych instytucyj lekceważy tego rodzaju siły. Kraj posiada tysiące rolników, a sekcya rolna liczy zaledwie parę setek członków. Jeszcze bardziej niepomyślny stosunek widzimy w innych sekcyach. Mają one bardzo małą liczbę członków, a i z tych niewielki procent przybywa na posiedzenia, w sali zaś zachowuje się biernie i obojętnie. Nie dość tego; nieraz instytucye nasze powierzają ważne sprawy ludziom nieodpowiednim, z całem zaufaniem robią pełnomocnikami swymi tych, mających na względzie przedewszystkiem interesy własne, sprzeczne z interesami ogółu. Tym sposobem bezwiednie wyrządzają krzywdę społeczeństwu.

Za trzy miesiące wszystkie nasze instytucye znowu otworzą swe sale. Otóż życzymy im, aby nowy rok swej działalności zaczęły od pozyskania największej liczby członków i powołania do pracy wspólnej ludzi zdolnych, obeznanych z potrzebami kraju, ożywionych szczerą chęcią służenia społeczeństwu. Tylko po takiem wzmocnieniu sił naszych instytucyj można oczekiwać od nich płodniejszej, niż dotąd, działalności.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Strejk giełdziarzy. — Potęga spekulantów. — Machinerya kolonizacyjna i Bank ziemski. — Nowa emisya akcyj.—Pomnik dla Chopina w Reinerz.

To wszystko, co się dzieje w Berlinie w zakresie spraw politycznych, społecznych i ekonomicznych, odbija się bardzo wyraźnie, a w większości wypadków dotkliwie, na interesach i życiu ludności polskiej w W. Ks. Poznańskiem i Prusach. To też nie bez wpływu była także działalność giełdziarzy berlińskich, którzy, jak wiadomo, jeszcze na schyłku roku przeszłego, nie chcąc poddać się przepisom nowej ustawy, opuścili giełdę zbożową i faktycznie urządzili inną, poboczną. Tam wkrótce przenieśli się wszyscy, którzy mieli do czynienia z giełdą i tym sposobem wyłamali się z pod nowych przepisów. Otóż władze pruskie przez długi czas nie wiedziały, co mają zrobić z takim protestem silnym i solidarnym. Ministeryum już nawet zaczęło wchodzić w układy z kupcami, którzy tłomaczyli się prywatnym charakterem zebrań swoich. Ale zanim te układy przyszły do końca, prezes policyi w Berlinie zabronił zgromadzenia i tym sposobem wytworzył nowy charakter strejku. Zakaz ten stał się w znacznej mierze hamulcem ekonomicznym, chociaż z drugiej strony nacisk i skrępowanie giełdziarzy jest pożądany, jako dotyczący sporej gromady spekulantów, wyzyskujących ogół rolników, którym już niejednokrotnie przynieśli znaczne szkody. Giełda berlińska przyczyniła się w znacznym stopniu do upadku rolnictwa, a jej wpływ pośrednio odbił się także ujemnie na interesach ziemiaństwa poznańskiego.

Jaki będzie dalszy obrót sprawy giełdziarzy berlińskich, dotąd jeszcze nie wiadomo. To tylko pewne, iż spekulanci są tak potężni i pomysłowi, że z pewnością znajdą jakiś nowy sposób obejścia przepisów i w dalszym ciągu będą trzymali w swej zależności ogół wytwórców.

Wszystko, cokolwiek się przyczynia do upadku rolnictwa w Poznańskiem, jest pomocą dla hakatystów i całej machineryi kolonizacyjnej, a więc i wszechwładza spekulantów oddaje usługi tego rodzaju polityce. Kolonizacya i Landbank, pomimo niepowodzeń, pomimo wielu trudności i niespodzianek, robią ciągle wyłomy, przez które fala germanizmu wpływa do ziemi zamieszkałej przez rdzenną ludność polską. Ich polityka jest nieubłagana w swojej konsekwencyi. Stara się ona przedewszystkiem kolonistów zabezpieczyć przed asymilacyą z ludnością polską. W tym celu germanizatorowie tworzą zwarte szeregi kolonizacyi, tj. unikają wszelkich wysepek niemczyzny na morzu żywiołu polskiego, lecz tworzą wydłużone lub szerokie półwyspy. Machinerya kolonizacyjna nie rządzi się przypadkiem, lecz z góry określa warunki geograficzno-polityczne i według jasno wytkniętego planu szerzy osadnictwo. Tym sposobem wytwarza się choć powoli, lecz stale, ciągłość obszarów zniemczonych. Jednocześnie przybyszów zabezpieczono przed wpływem duchowieństwa katolickiego. Ziemie nabyte dla osadników muszą tedy posiadać ważny warunek: kościoły ewangelickie i pastorów protestanckich. Nie dość tego: w ostatnich czasach zaniechano zupełnie sprowadzania chłopów niemieckich, katolików, dla kolonizacyi na ziemiach słowiańskich.

Wprawdzie zdobyliśmy się na instytucyę przeciwdziałającą: Bank ziemski w Poznaniu i na wybornego jej administratora, d-ra Teodora Kalksteina. Ale jej wpływ bardzo jest słaby wobec potęgi finansowej kolonizacyi niemieckiej. Bywały wypadki, że ziemianie przyciśnięci potrzebą, bezskutecznie kołatali do Banku ziemskiego, ażeby nabył od nich majątki zadłużone. Pomimo gorących chęci, odmawiano im. . z braku środków; a wtedy owi właściciele zrujnowani uciekali się do komisyi kolonizacyjnej, która bardzo skwapliwie przychodziła im z „pomocą." Tak było dotąd i tak będzie nadal, jeżeli in-

Achilles i Patroklos

Leona Cladela.

Żylasty i suchy ten potomek szczepu galickiego zrzucił z siebie odzież cywilną czwartego roku Rzeczypospolitej, pod koniec Germinala. Wiedział tylko, że biją się na granicy. A i to doszło do jego wiadomości jedynie dzięki odwiedzaniu gospody „Francuzka," gdzie głośno czytano gazety. Posiadał lepiankę wzniesioną z ziemi i trzcin jeszcze przez ojca, którego nie znał; matka chorowała dziesięć lat i zmarła niedawno. Po ich pogrzebie zamknął chatę, włożył klucz do kieszeni i udał się do Montaubanu. U wrót miasta spotkał policyanta, powiedział mu, że chce być żołnierzem i wraz z nim poszedł do ratusza. Spytano przybysza o imię i nazwisko, odrzekł: Jan Gask. Ile ma lat? Matka mówiła, że dwadzieścia bez dwóch. Gdzie się urodził? Na pewno nie wiedział.

Przyjęli go, a w dwa miesiące był już we Włoszech. Bił się na moście Lodi, pod Arcole, przy Rivoli. W roku VI odbył wyprawę egipską, w torbie miał elementarz. Przy Piramidach, jako grenadyer dwudziestej drugiej półbrygady, czytał zupełnie biegle, a bił z muszkietu, jak stary wąsal. Niewzruszony w ogniu, myślał o literach, wykręcając naboje. Raz w bitwie weteran stojący przy nim zawołał:

— O czem że teraz marzysz, rekrucie, do kroćset?!.

Oto o czem:

Kiedy na czworoboki republikańskie spadali jak płomienie centaury Murad Bej i mamelucy, nowicyusz, choć miał już kulę w biodrze, a z głowy krew płynęła po niedawnem cięciu szablą, dumał sobie, jakby to było ładnie galopować jak tamci, szybko niby burza, bodąc konia ostrogą, z pistoletem w jednej ręce, z pałaszem w drugiej. Nazajutrz siedział z owiniętą głową w cieniu palmy i wyśpiewywał na całe gardło południową piosenkę, kiedy Desaix rodem z Owernii, posłyszawszy śpiew, podjechał ku niemu.

— Cóż to szczebioczesz, słowiku?—spytał go dobrotliwie.

— Śpiewam „Pastereczkę z jaru."

— A skąd ty, z Langwedocyi, czy z Gaskonii?

— Niedaleko stamtąd. Z Quercy.

— Dobrze. Mianuję cię kapralem.

— Ale jabym wolał do jazdy.

— Na konia?

— A tak.

— Więc do jazdy.

W jakiś czas potem, na lewym brzegu rzeczki Fontanone, zmierzono się znowu z Austryakami Melasa. Bonaparte przegrał bitwę, lecz Desaix wstrzymał odwrót, a Kellermann, aby zginąć lub zwyciężyć, kazał swoim dragonom puścić uzdy i pędzić na oślep. Dwudziestoletni trubadur brodził we krwi, na pobojowisku ocalił życie pewnemu kwatermistrzowi, którego zwano wielkim Bonawenturą.

Ów pochodził z sąsiedztwa. Kalwinista z dziada pradziada, szczycił się całym szeregiem ojców, którzy zbrojnie bronili swej religii i z których niejeden złożył w walce głowę. Sam czytał wiele, rozumie się, filozofów, a gdy ogłoszoną została Rzeczpospolita wszedł jako ochotnik do armii i walczył pod Hochem, Marceau, Desaixem, Kleberem, nareszcie pod Bonapartem.

Ocalonego i zbawcę połączyła ścisła przyjaźń. Gask ukochał Bonawenturę całem sercem, podziwiał go, uważał za zdrój wiedzy i za olbrzyma stułokciowego; ów zaś poświęcił się zupełnie swemu nieoświeconemu bratu, uczył go, poprawiał, urabiał; pieścił i pielęgnował, jak pieści i pielęgnuje artysta bryłę marmurową,

stytucya nasza nie znajdzie solidarnej pomocy w całem społeczeństwie. Zważmy tylko: kolonizacya niemiecka rozporządza kapitałem stumilionowym, nadto Landbank posiada około dziesięciu milionów, gdy nasze nędzne pogotowie ratunkowe, Bank ziemski, ma zaledwie dwa miliony, tj. drobinę, z którą nie można się porywać przeciwko sile pieniężnej germanizatorów.

Otóż Bank ziemski postanowił w roku bieżącym wypuścić nową emisyę akcyj, która, jak głosi projekt, zatwierdzony przez władze pruskie, musi być skończona przed upływem 1899 r. Pisma warszawskie nawołują ogół do walki z hakatyzmem i cieszą się drobnymi faktami, jak np. zbycie lekceważeniem agentów firm niemieckich, prowadzenie korespondencyi w języku polskim lub zaniechanie przez garstkę ludzi zamożnych wyjazdu do wód niemieckich. Wszystko to ma charakter drobnej, prawie bezsilnej manifestacyi. Jeżeli tedy społeczeństwo nasze chce prawdziwie i skuteczniej, niż dotąd, bronić ludność polską przed germanizacyą, powinno czynić to na podstawach realniejszych. Mianowicie niech każdy, kto tylko ma grosz przeznaczony na procentowanie, zakupuje akcye Banku ziemskiego. Nie będzie to ofiara ze szkodą materyalną ludzi posiadających fundusze, gdyż ich lokata w akcyach Banku ziemskiego jest bardzo pewną i korzystną. Jego gospodarka dotychczas jest wzorową i zaufanie wzbudzającą. Dla skutecznej walki z hakatyzmem trzeba w tym zakresie jak najszerzej agitacyę rozwinąć, tem bardziej, że walka taka wybornie pogodzi interes prywatny jednostek, posiadających fundusze, z dobrem społeczeństwa.

P. Magnus z Warszawy zdobył się na czyn, godny szczerego uznania. W Reinerz na Szlązku, miejscowości kuracyjnej, przeznaczonej dla osób dotkniętych gruźlicą, wzniósł on własnym kosztem pomnik dla Chopina. Jakie były pobudki uczczenia w tej miejscowości znakomitego kompozytora, niech wyjaśni streszczenie przemowy p. Denglera, wygłoszonej przy odsłonięciu pomnika: W początku sierpnia 1826 r. przybył tam 18-letni Fryderyk Chopin z matką chorą i siostrą dla wypoczynku i wzmocnienia zdrowia. Mieszkał wówczas w małym domku, na którego gruzach powstała później duża kamienica. Podczas jego pobytu zdarzył się tam smutny wypadek. Przybyłe dwie dziewczynki z chorą matką spotkało nieszczęście: zostały sierotami, bez środków istnienia. Otóż Chopin pospieszył z pomocą: urządził koncert na ich dochód. Tym sposobem pomnik obecnie wzniesiony jest uczczeniem nietylko talentu, lecz i dobrego serca.

Monument, zbudowany w formie bloku granitowego, na podstawie murowanej, otoczony jest świerkami. U wierzchołka granitu umieszczono medalion bronzowy Chopina, wykonany przez rzeźbiarza Romana Lewandowskiego z Wiednia. Pod medalionem umieszczono następujący napis:

Frederico Chopino
Reinercii a. MDCCCXXVI
arte suavissima humanitate eximia
generosam virtutis indolem
ineunte adolescentia testifato
hoc monumentum
a. MDCCCXCVII
ad rei memoriam sempiternam
decurienum permissu impensa sua
Polono Polonus

Wszyscy Polacy, bawiący w Reinerz, wzięli udział w pięknej i podniosłej uroczystości odsłonięcia pomnika. Burmistrz miejscowy, p. Dengler, złożył w imieniu rady miejskiej wieniec u podnóża monumentu i zapewnił, że ta pamiątka będzie należytą czcią i poszanowaniem otoczona.

et.

TWÓRCZOŚĆ A KONKURENCYA.

I.

I wy to społecznością nazywacie — oburza się Carlyle — w czem nie ma idei społecznej wspólnej, a choćby nawet pojęcia wspólnego ogniska domowego, lecz tylko idea ogromnej przepełnionej kamienicy, gdzie każdy odosobniwszy się, nie dba o bliźniego i zwraca się przeciw niemu, chwyta to, co mu się uda dostać, woła: „moje“ i nazywa to spokojem — tylko dlatego, że w tej zamieszce zbójeckiej, podstępnie czyhającej i podrzynającej gardło, niema nożów stalowych, tylko inne, daleko niebezpieczniejsze!“

Zaprawdę, nadaremnie poszukiwalibyśmy obecnie w życiu gromadnem tego, co publicysta angielski nazwał ideą wspólną, to jest powszechnego współdrgania serc i współsplotu czynów. Marzyciele stawiają niekiedy takie zasady jako ideał dla dalekiej przyszłości, za co trzeźwe umysły prawią im z politowaniem kazania, iż zapominają o prawach przyrody ludzkiej, wymagającej wzajemnego pożerania się. Poddając rozbiorowi teorye, roztrząsające istotę życia gromadnego, nie znajdziemy ani jednej, którąby usiłowała przedstawić dzisiejszą więź społeczną jako jaźń zbiorową. Są wprawdzie socyologowie, pragnący oświetlić stosunki gromadne ze stanowiska podmiotowego, lecz wszelkie tego rodzaju próby poprzestają na przyrównaniu oddziaływania wzajemnego do małpowania postępków, czyli na wyszukaniu praw naśladownictwa. Inni kładą nacisk na kult bohaterów, przyczem ci bohaterzy mogą być bardzo nikczemnej miary, odznaczać się tylko potężnemi łydkami i umiejętnością przybierania lubieżno-ckliwej miny na deskach teatru. Nawet rzecznicy teoryi, że społeczeństwo jest organizmem, którzy tyle dowcipu włożyli w przekład na terminy biologiczne faktów życia zbiorowego i, zacietrzewieni układaniem takiego słownika, zapomnieli dotrzeć do jądra istoty społecznej, nawet i ci nie pomyśleli o takiem traktowaniu więzi gromadnej, chociaż „dusza społeczna,“ zdawałoby się, jest koniecznem uzupełnieniem całej doktryny. Krytyczniejsi badacze ustroju cywilizowanego określają społeczność nie jako harmonię uczuć i czynów, ale wprost jako gromadę osób, podmiotowo nawzajem obojętnych, związanych dopiero w sposób przedmiotowy pętami wymiany produktów i usług. Przyjmują oni, że podział pracy, zmuszający włościanina wytwarzać zboże dla szewca, tego zaś wyrabiać buty dla rolnika, pracodawcę, tj. najemnika, poszukiwać pracojemcy, któryby dał mu zarobek, że podział ów jest jedynem spoidłem, łączącem ludzi w rzeszę społeczną. Rodacy mogą być jako atomy, tj. działać tylko pod wpływem pobudek samolubnych, przecież stanie się zadość wszelkim wymaganiom trwałości społecznej!

Ktoś znalazł w podstawie społeczeństwa dzisiejszego tylko ideę olbrzymiej a przepełnionej kamienicy. Gdyby żył jeszcze, kamienicę zastąpiłby przez hotel. W definicyi Carlyle'a brak najistotniejszego rysu doby obecnej: do hotelu każdy zajeżdża i opuszcza go, kiedy mu się podoba, pomiędzy lokatorami niema kajdan zależności wzajemnej. Tymczasem członko-

---

z której wykuwa posąg. Między dwoma bitwami objaśniał mu prawa ludu, często naukę przerywały trąby i bębny, a ciąg dalszy następował o dwadzieścia mil stąd w mieście, nad rzeką, pośród zbóż, gdzie armia obozowała upojona zwycięztwem i codzień dumniejsza z republikańskiego sztandaru.

Zawsze z sobą, nie rozstawali się nigdy. W boju, w obozie, dniem i nocą, zawsze razem, jakby ślub wzięli Żartowali z nich towarzysze. Gdy Bonaparte kazał swoim żołnierzom obciąć włosy, oni oparli się temu i zostali przy długich kędziorach. Napróżno nalegano. Pod Austerlitz jeszcze było tak samo. Lecz tu starszy otrzymał postrzał w skroń, lekarz kazał ze względu na ranę ostrzydz głowę; widząc to młodszy i sobie obciął włosy.

W marcu 1802 r. został zawarty pokój w Amiens. Pierwszy konsul wiedział, że cisza nie potrwa długo, w dziewięć miesięcy potem zaczął tworzyć nowe pułki kirasyerów. Bonawentura był olbrzymi, Gask także urósł i wpisano ich do świeżych oddziałów z dawnym stopniem. Europa pozwoliła Janowi przez dwa lata kształcić się systematycznie. Bonawentura Lavergne udzielił mu wszystkiego, co wiedział o Bogu, o istotach żyjących i o świecie. I naiwna dusza jednego otworzyła pączki i rozkwitała pod podmuchem drugiej. Obaj nie patrzyli na przyszłego cesarza ani jak na Boga, ani jak na czarta; był to dla nich genialny generał, zarazem szerzyciel z natury swojej zasad rewolucyi francuskiej. Wraz z kilkoma innymi tworzyli jądro tego legionu zapaleńców i sankiulotów, w których dawna myśl przetrwała. Służyli Napoleonowi, bo widzieli w nim rządzący naród; podobni do Brutusów byliby może w stanie poświęcić Cezara, ale póki ten wiódł ich po świecie ze znakiem wolności, byliby szli za nim do Chin, na morza niezbadane, ku niedostępnym biegunom, na drugi świat nawet, gdyby im powiedział, że i tam jest coś do zrównania. Niszcząc wroga w bitwie, uważali się za posłanników, na tworzenie baronów i hrabiów patrzyli wesoło, wszak znali tego jako dawnego dobosza, owego jako masztalerza lub chłopa, a nazwiska ich takie były podobne do nazwisk prostych żołnierzy. Jakże mieli myśleć, że książę Castiglione przestał być nieustraszonym Augureau, a książę Valmy — Kellermanem? Pewnego razu przy nowem wyniesieniu Jan Gask żartował sobie wobec towarzyszów:

— Oho, cóż to, a czyż ja nie jestem „jego wysokością jaśnie wielmożnym Jaśkiem?“

Było to jakoś po Tylży. Pogromca Europy, rozstawiwszy swe wojska na brzegach Niemna, odbywał przegląd. Chociaż zawsze z obliczem na pozór obojętnem wpatrywał się on nieraz w twarze żołnierzy, czytał w nich jak w książkach, rozweselał się przy wesołych, posępniał przy smutnych. Dziś zwrócił uwagę na jeźdźca, który bez trwogi i bez wyrzutu w oczach mierzył go od podeszew do wierzchu kapelusza.

— Ty odkąd jesteś w oddziale?— spytał nagle Bonaparte.

Śmiałek odparł:

— Od jego utworzenia.

— Ile masz lat służby?

— Jedenaście.

— Ran?

— Trzynaście.

— Hę? trzynaście!.. A ile ci lat?

— Wnet trzydzieści.

— Czemuż ty, mój waleczny, nie masz jeszcze krzyża?

— Nie wiem, generale.

— Chcesz powiedzieć: najjaśniejszy panie.

— Mawiam: generale.

Korsykanin uśmiechnął się.

— A cóż to zapominasz, że jestem cesarzem?

Góral odpowiedział zwolna:

— Jużci, ale pamiętam, żem was zwał generałem pod Arcole, Rivoli, w Egipcie, nawet przy Marengo.

wie narodu są tylko pozornie swobodni, w gruncie rzeczy zaś wiąże ich podział pracy, jakeśmy to tylko co zaznaczyli. Trzeba więc poszukać innych wzorów dla doraźnego a namacalnego zcharakteryzowania istoty społeczeństwa cywilizowanego.

Co do nas, rzeklibyśmy, że społeczność dzisiejsza to tylko targ, albo dokładniej: zbiór wielu targów, mniejszych i większych, zahaczających się wzajemnie i dążących pospołu do rozproszenia się w jednym ogromnym. Przynajmniej takim jest ideał ostateczny ideologów mieszczańskiego porządku rzeczy, rzeczników doktryny manchesterskiej i ich sobowtórów w skórze biologicznej, darwinistów społecznych.

Udajmy się na targ i przypatrzmy się jego fizyognomii.

Chłopka siedzi na wozie z kartoflami, inna sprzedaje nabiał, w pobliżu uwija się kilku przekupniów, rzeźnik w jatce rozwiesił mięso, wyrobnica na palcach liczy, czy starczy jej pieniędzy na kupno kurczaka dla chorego męża. Przed chwilą wszystkie te osoby potrącały się może nawzajem na ulicy, jak obce, niezależne atomy. Na targu poczuły zaś, że są skute kajdanami i stanowią jeden olbrzymi organizm narodowego podziału pracy. Nabywca rozgląda się, czy dużo jest włościanek, a zatem czy taniej lub drożej trzeba będzie zapłacić za produkt; sprzedający trwoży się, gdy jest niewielu odbiorców.

Temu dramatowi, bo pod stosunkiem sprzedaży i kupna ukrywa się nie krotochwila, lecz dobrobyt i cierpienia, dałbym nagłówek; „Ile? — tyle!“ Odgrywa się on w najustronniejszym zakątku i w pierwszorzędnej stolicy, w chacie wieśniaka i w olbrzymim gmachu giełdowym — bez przerwy i stanowi jedyny węzeł, łączący członków społeczeństwa dzisiejszego w całość, istotną treść stosunków wzajemnych człowieka do człowieka. Ale czy takie zbliżenie, gdy pytam: ile? i oczekuję na to odpowiedzi, czy kupno i sprzedaż, te objawienia podziału pracy, w których chodzi nietylko o kurczaki i jaja, ale także o przekonania, powaby ciała, siłę mięśni, przedstawiają jakąkolwiek ideę wspólną? Czy pomiędzy członkami społeczeństw tegoczesnych, będącymi przedewszystkiem uczestnikami tego samego dramatu targowego, możliwe jest, właśnie w imię takiego stosunku, stałe współdrganie uczuć i zrzeszenie czynów? solidarność powszechna i wspólna idea społeczna?

Jeszcze lepiej poznamy naturę dzisiejszej więzi społecznej, gdy kagankiem wiedzy socyologicznej oświetlimy rodowody targu oraz zwyczajów, które tam rządzą.

Tu i owdzie istnieją na globie ziemskim szczepy barbarzyńskie, odtwarzające w teraźniejszości byt dalekich przodków ludów cywilizowanych. Ekonomiści mieszczańscy z góry patrzą na te nagie istoty, nieposiadające telefonów i kolei, ani fabryk blagi reporterskiej i encyklopedyj. Technika stoi na bardzo nizkim poziomie, społeczny podział pracy nie istnieje. Plemieńcy, nie związani w całość pętami wymiany, trzymają się w gromadzie działaniem innych przyczyn, sprzyjających wytworzeniu się głębokich uczuć sympatyi wzajemnej. W żaden sposób nie nadają się oni na aktorów w nowoczesnym dramacie: ile — tyle. „Wszystkie próby zyskania władzy nad Australczykami — pisze ktoś — za pomocą zasady *divide et impera* okazały się daremnemi. Podarowano np. najpilniejszemu spodnie, ażeby wzbudzić w nim sobkostwo i wyróżnić od innych. Już w tym samym dniu znajdą się one na wielu nogach; ten, któregośmy chcieli ukarać odmówieniem upominku, będzie może w nich się pysznił. Dacie któremuś mąki, lecz i tem nie wywołacie zazdrości. Tego samego wieczoru rozpalą ogień i wszyscy, bez różnicy pomiędzy mojem a twojem, zasiędą do uczty.“ Przysłowie twierdzi, iż w drobiazgach najlepiej można kogoś poznać, ale bądź co bądź, garść mąki nie stanowi chyba zbyt wielkiej pokusy, ażeby solidarność plemienna, podtrzymywana przez tradycyę wiekową, miała już prysnąć. Wolimy przytoczyć inny przykład, pokazujący, iż uczucie wzajemne nie opuszcza barbarzyńców nawet wtedy, gdy śmierć zajrzy im w oczy. W Indyach przedgangesowych zdarzały się ongi głody, kiedy miliony wymierały. Anglicy, po kilku latach dostawszy się do którejś wioski ustronnej, znajdowali na placu tylko gromadę kościotrupów, obejmujących się i tulących do siebie. Postawa taka świadczy, że dzielili się oni do ostatka tem, co było, wreszcie wyczerpawszy zapasy i straciwszy wszelką nadzieję ocalenia, siadali przy sobie i jednym olbrzymim uściskiem związani cierpliwie konali. Nie było tam walki i wściekłości, jakiej widownią są łodzie rozbitków cywilizowanych...

Targ dzisiejszy, którego moralność każe płacić pieniędzmi za wszelką usługę i liczyć się każdym groszem, oraz wszystko zamienia na towar, a który w najgłębsze skrytki ducha naszego włożył łaknienie zysku, powstał właśnie z takiej przeszłości solidarnej. Naturalnie, ukazał się on po raz pierwszy nie wewnątrz plemienia, bo stosunek, oparty na kupnie i sprzedaży, w tej wielkiej, ogólno-społecznej rodzinie, był niemożliwy. Lecz swoją drogą pierwiastki zjawienia się wymiany tkwiły w ustroju barbarzyńskim. Plemię było gromadą nieznacznych rozmiarów, panowała w niem solidarność wzajemna i miłość, natomiast wszystko, co należało do grupy ościennej, było wyklęte. Pomiędzy sąsiadami wojna była zasadą, tępiono siebie nawzajem i niszczono. Handel powstał na pograniczu pomiędzy nimi, tam gdzie stykały się tak solidarne każda w sobie i tak nawzajem wrogie rodziny plemienne. Są fakty, wykazujące w sposób bardzo wymowny, że co do rodowodów swoich wymiana jest tylko bitwą złagodzoną: strony walczące, znużone bojem parogodzinnym, odpoczywały i podczas takiego fizyologicznego zawieszenia broni wymieniały produkty. Wraz z tem moralność sprzedaży i kupna jest tylko osłabioną formą fortelów wojennych i podejścia, oszustwa i gwałtu. I nadaremne są zabiegi naiwnych reformatorów, usilujących podnieść poziom etyki kupieckiej, która zrodziła się z taktyki wojennej — mniejsza, czy prawione morały dotyczą szewca, lekarza lub adwokata. Wymiana jest bitwą, lecz taką, w której zamiast noży stalowych używamy innych, nie tak widocznych, choć niemniej niebezpiecznych, w której wreszcie idziemy nie otwartym, jawnym bojem, ale czyhamy milcząco. Jeśli wejdziemy w progi amerykańskich sanktuaryów targowych, giełd, tam zasada wojenna z odpowiednim ordynkiem wystąpią w całej okazałości. Tworzą się partye, zwyciężająca wydaje okrzyki tryumfalne: „skalpuj wrogów,“ zwyciężona wyje z wściekłości i odgraża się pięściami...

Bitwa, nieustająca, zażarta bitwa każdego z każdym, czyli jak brzmi utarte powiedzenie: *bellum omnium contra omnes*. Nie tutaj miejsce rozpatrywać, jak targ, który powstał na pograniczu dwu plemion, wżerał się w łono każdego z nich, podmywał uczucia braterskie, aż wreszcie każdemu plemieńcowi wetknął nóż do rę-

---

— Jak się nazywasz?

— Jan Gask.

— Książę Neufchatelu, daj krzyż temu człowiekowi.

Położył nacisk na słowo: człowiekowi, jeszcze raz spojrzał na odważnego i pojechał ku dalszym pułkom.

Pod Essling kirasyerzy wbili się w masę austryacką jak żelazne kliny; Patroklos wziął do niewoli pułkownika, Achilles zdobył chorągiew, jeden posunął się na adjutanta, drugi na oficera. Pod Wagramem kilkakrotnie jeden wyratował drugiego.

Nareszcie w sierpniu 1808 r. nowy pokój i małżeństwo Bonapartego z cesarzówną. I znów zjadliwe uwagi.

Lot orłów jednak nie wstrzymał się. Skrzydła ich przeszumiały w r. 1812 nad błękitnym Niemnem, niewiele czasu minęło, a zawrzał bój borodyński. Kirasyerzy tworzyli rezerwę. Przy odgłosach armatnich starszy z dwóch patryotów mówił do młodszego:

— Nie wiem sam, co mi, ale już od dwóch dni wciąż myślę o Montaubanie; zdaje mi się, że idę po jego ulicach, że patrzę na nurty Tarnu, na stare wały, że oglądam ruiny zamku, wieżę katedralne, dzwonicę św. Jakóba i wciąż mi to samo majaczy się przed oczyma. Ojciec siedzi pośród swoich garnków w sklepie przy rogu ulicy Auriol, zgrzybiały a smutny! Tej nocy śnił mi się nasz sad, mój mały braciszek, którego już od osiemnastu lat nie widziałem, przyszedł do mnie i prosił popłakując: „Zostań z nami, bracie, zostań, nie wrócisz już, skoro pojedziesz; nie jedź!“ Wiesz, towarzyszu, nie jestem zabobonny, znasz mię pod tym względem, ale zdaje mi się, że dziś będę zabity. Coś mi to mówi. Pamiętajże o tem, czego cię uczyłem, kochaj słabych i niewiedzących, pomagaj im, ucz ich, jak ja uczyłem ciebie, nienawidź służalców i... myśl czasem o tym, co cię kochał i oświecał. No, pocałuj mię!...“

Naszemu dzikusowi, gdy to słuchał, zdawało się, że jest w gniotącym jakimś śnie. Utracić swego wychowawcę, rozstać się z nim, nie widzieć go, nie słyszeć, nie mieć, to wydawało mu się niemożebnem. W naiwności i szczerości swego uczucia braterskiego i prawie synowskiego nigdy nie pomyślał, że pika ułana albo kula kroata, że kartacz lub granat mogłyby mu go zabić. A nawet był równie pewnym swego życia. Miałażby go śmierć wydrzeć jego opiekunowi, miałażeby go dosięgnąć jaki wystrzał w czasie bitwy lub pogoni? A cóżby Bonawentura potem zrobił? Nieraz po bitwach szedł z nim pobojowiskiem, nie widząc ciał pokaleczonych wkoło, nie słysząc jęków konania, potykając się o trupy, jak o kamienie i pytał tylko, podziwiał, pił słowa swego towarzysza. Myśl, że mógłby go stracić, nigdy go nie nawiedziła, więc teraz posłyszawszy, co mówił, przeląkł się strasznie, szalenie, poprowadził ręką po czole i zadrżał... Przypomniał sobie, że pod Iławem widział druha zlanego krwią własną i że wtedy zdało się mu, jak gdyby mu żyły marzły; ziemia nikła pod stopami; ciemniało mu w oczach i niby leciał w próżnię...

Ow powtórzył:

— Pocałuj mię, synu.

Jan opamiętał się i padł w objęcia starszego, nic nie mówiąc, bo za pierwszem słowem trysnęłyby mu łzy, a nie chciał okazać się słabym. Uścisnęli się w milczeniu. Tymczasem zwycięztwo nie było jeszcze pewne, choć dwadzieścia tysięcy trupów zasłało ziemię. Adjutant cesarski przyniósł rozkaz ciężkiej kawaleryi zdobyć wielką redutę.

— Żegnaj, dziecko, idę na śmierć.

— Nie, ja nie chcę, nie!

— Tak pisano! Dalej naprzód, żegnaj Janie!..

— Bonawenturo, Bonawenturo!..

Żelazne szwadrony rzuciły się z łomotem. Zdawało się, że burza leci i nara z

ki przeciw rodakom. Poprzestaniemy na wzmiance, iż podrzynanie zdradzieckie gardła czyha wszędzie, pod najrozmaitszemi etykietami: blagi, reklamy, spekulacyi, umiejętności przebijania sobie drogi. Wiek wszechfrymarczenia, tj. powszechnej rozterki każdego z każdym, musi z konieczności być wiekiem kłamstwa i hypokryzyi, tak dalece, iż jeden z socyologów mieszczańskich, Tarde, podaje, jako skalę dla mierzenia pochodu cywilizacyjnego, zwiększoną liczbę kłamstw i zmniejszoną — mówienia ludziom prawdy w oczy. Człowiek został zmuszony do nieustającej ostrożności i maksymą jego stosunku do rodaków jest postępowanie z każdym jako z szalbierzem i łapserdakiem, póki nie zbierze dostatecznych dowodów, iż komuś można zaufać. I nastręcza się pytanie, jak musiała istota ludzka znikczemnieć w tym zgiełku podejścia, w którym prócz kilku blizkich osób ma wszystkie przeciw sobie! Z pośród rysów jej ducha pozostają lub nadmiernie rozrastają się tylko te „przymioty,“ które są w najlepszej harmonii z takimi zewnętrznymi warunkami bytu: zjawiają się pazury i kły, ludzie stają się jako gromada zgłodniałych wilków, których cała filozofia streszcza się w pożeraniu wzajemnem. „Kto nie bije, tego biją!“ Poeta pisze:

...To ziemia,
Patrz jak nad jej wodą trupie
Wbił się jakiś płaz w skorupie.
Sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem,
Nie lgnie do niego fala, ani on do fali!
A w tem jak bańka prysnął w szmat głazu,
Nikt nie znał jego życia, nie zna jego zguby.
To samoluby!..

Gdybyśmy posłuchali rad pani Klemencyi Royer, tego *enfant terrible* obozu darwinistów społecznych, najkonsekwentniejszych ideologów filozofii targowiska, powinniśmy zamienić się na gromadę takich samolubów.

L. Krzywicki.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Po karnawale letnim.

Wystawa rolnicza zamknięta, jarmark wełniany skończony, totalizator zawiesił swą działalność, uczniowie otrzymali urlopy, więc już nie ma co robić w Warszawie i trzeba wyjechać. Kto posiada bardzo dużo aktywów lub pasywów, udaje się za granicę; kto nie posiada nic, wynajmuje letnie mieszkanie pod miastem w chacie u chłopa lub w domku przedsiębiorcy, gdzie panie „śmiertelnie się nudzą,“ a panowie — o ile nie złożą partyi winta — „nie wiedzą, co z sobą począć.“ Świeże powietrze, widoki natury, obchodzą tylko ludzi artystycznie wrażliwych, chorych lub spracowanych. Znużeni całodziennym, ciężkim trudem robotnicy, którzy w niedzielę z rodzinami wysuwają się za miasto, jak wyprzężone z jarzma woły, ażeby na trawie położeć; pracownicy biurowi, którzy wolą na welocypedzie lub koleją uciec z gorących i dusznych murów, niż pić w knajpach i umizgać się do posługaczek; wysyłane przez zarząd kolonij letnich ubogie dzieci, wszyscy wreszcie z dogasającem w twardej pracy zdrowiem — ile razy mogą, korzystają z dobrodziejstw natury. Niestety, ci najmniej mogą dogodzić swemu pragnieniu. Muszą pozostać w mieście, przypatrywać się znużonym twarzom i przysłuchiwać skargom na „martwą porę,“ gorzkim żalom za minionym „karnawałem letnim“ i niecierpliwym oczekiwaniom „karnawału jesiennego.“

Spekulacye ogłoszeniowe.

Do długiego, zbyt długiego łańcucha wydawnictw różnoimiennych a mających na widoku wyłącznie zebranie snopka płatnych ogłoszeń i związanie go jakimś literackim lub pożytkowym tytułem, przyczepiło się nowe ogniwo: *Przewodnik po Warszawie, Łodzi i okolicach fabrycznych.* Nakładca może go sprzedawać po 15 kop., bo z 383 stronic 200 przeznaczył na ogłoszenia. Trudno rzeczywiście wymyśleć coś niesmaczniejszego typograficznie nad tę książkę, w której karty tekstu pomieszane są z kartami inseratów, w której np. kościół św. Krzyża znajduje się obok „niezawodnego środka na wygubienie odcisków,“ pałac Łazienkowski — obok bielizny pościelowej; Uniwersytet — obok obuwia damskiego, pałac Wilanowski — obok fabryki gorsetów itp. Rozumie się, ponieważ reklamie dano naczelne miejsce, ponieważ ona głośno trąbi i skacze do oczu, więc trudno śród jej wizerunków i szyldów doszukać się skromnie ukrytych informacyj, które mają być głównem zadaniem tego „Przewodnika.“ Dołączone są do niego dwa plany: Warszawy z nazwami ulic polskiemi i Łodzi — polsko-rosyjskiemi. Dlaczego wydawca wprowadził tę różnicę, daremnie usiłowalibyśmy odgadnąć.

Wspominamy o tym fabrykacie z dwóch względów: 1) ażeby objaśnić czytelnika, co to jest i 2) ażeby odstręczyć ogół od nabywania podobnej tandety. Spekulacya ogłoszeniowa tak natrętnie wciska się do książek, że niedługo będzie umieszczała swoje szyldziki między wierszami poezyi lub dzieł naukowych. Maluczko, a będziemy mieli takie pasztety:

Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie,
(Wędliny litewskie, skład główny ulica N. N.
Pigułki rabarbarowe w aptece Y, przy ulicy Z)
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
(Najtańsza gazeta codzienna X, pod redakcyą N.)
Kto cię stracił. .
(Sklejam, reperuję stłuczoną porcelanę, szkło, fa-

Kasa Mianowskiego.

Zarząd tej instytucyi ogłosił sprawozdanie (piętnaste) za r. 1896. Z tego dokumentu widać, że na obojętność ogółu skarżyć się ona nie może. Liczba członków rzeczywistych, płacących po 5 rs. rocznie, jest dość znaczna (575), przybyły jej nowe zapisy i ofiary jednorazowe, a całość majątku w stanie czynnym bilansu wynosi 303,774 rs. Co do szafunku rozporządzalnymi funduszami, nie wszystkie szczegóły są pocieszające. Przedewszystkiem uderza bardzo mały zwrot pożyczek i zapomóg (3,555 rs.) stosunkowo do ich wysokości (42,030 rs.). Dłużnicy Kasy nie spieszą się! Powtóre suma należności umorzonych (1,827 rs.) jest zbyt wysoka. Ale co dziwniejsze, to wiadomość, że jednemu z dłużników, któremu musiano darować 600 rs., dane „na studya za granicą z dziedziny psychologii,“ jednocześnie „przyznano i wypłacono zapomogę bezzwrotną 300 rs. na zakupienie przyrządów do laboratoryum psychologicznego (!) i dalsze badania w tym przedmiocie.“ Brzmi to szumnie, bo szumnie, ale wolelibyśmy zamiast wielkich zapowiedzi ujrzeć bodaj małe czyny. Wykaz dochodów z książek, wydanych nakładem Kasy, potwierdził znowu dawniej wyrażone nasze zdanie o zmarnowaniu pieniędzy na niektóre z nich. Tak np. „Iliada“ w tłomaczeniu Szmurły przyniosła 23 rs. 33 kop. (pozostaje 1,022 rs.), „Biblioteka filozoficzna“ Struvego — 12 rs. 92 k. (pozostaje 1,643

---

huk orkanu, huk grzmotów i trzęsienia ziemi zabrzmiał. Trzystu doboszów bębniło na wzgórzu do ataku, dwieście paszcz żelaznych ryknęło, w ukrytym dole zagrała muzyka wszystkich pułków. Ludziom i koniom zakipiała krew w tętnicach. Okrzyki i rżenia zmieszały się z odgłosami armat, bomby jęły opisywać ogniste krzywizny w przestrzeni, niebo zaczerwieniło się, a w błyskach wystrzałów świeciły hełmy i szable, pancerze i bagnety; sześćset tysięcy ludzi zwarło się. Zaciemniło się słońce i całe pole w dymie stało się podobnem do wielkiego morza przypływającego i odpływającego, jęczącego i wyjącego, bez brzegów, pełnego wściekłości. Pułk rzucał się na pułk, a czasem, gdy troszkę ciehło, dolatywały głosy trąb i trąbek.

Reduty borodyńskiej nie „zdobyto.“ Wyrwano ją, zmieciono. Jej nasypy, jej baszty, jej obrońcy znikli. Kirasyerów strzelano, rąbano, deptano—odnieśli zwycięztwo. Pięćdziesiąt tysięcy istnień zgasło. Po sześćkroć stracił konia syn ziemi Quercy, po sześćkroć wsiadał na nowego, którego jeździec zginął. Sen jego z pod Piramid ziścił się; nigdy na koniu o nozdrzach rozszerzonych, o czerwonem oku, odkrytych zębach, najeżonej grzywie, na koniu parskającym z wściekłości i strachu, nie rzucał się w wir bitwy człowiek zawziętszy, obryzgiwany błotem i krwią, upojony muzyką i wonią saletry, straszniejszy. W mniej, niż godzinę zarąbał trzydziestu kanonierów na ich dymiących się działach. Wyprostowawszy się w strzemionach, rąbał ludzi, jak rębacz drzewo; podziurawiono, pogięto mu szyszak — zrzucił go i z gołą głową walczył jeszcze lepiej. Kartacz rozdarł mu na dwoje siódmego konia, klacz kozacką, której właściciela zrzucił bagnetem; padł na ziemię, ale zaraz zerwał się: czarny, ogromny, wystraszony ogier, pokaleczony, rozogniony, okryty pianą leciał, a srebrny i purpurowy czaprak jego opływał krwią...

Ten koń, ach... Gask stanął. Wszak to koń Lavergne'a, on go poznał, jakże nie miałby go poznać? Lavergne'a!.. Wtedy upadł na kupę ciał i wsparłszy się o łokieć, załkał. Stąd, stamtąd, z przodu, z tyłu, leciały kule, szalały grzmoty, szczękała broń sieczna, on nic miał już ni oczu, ni uszu, on tylko płakał...

Nieprzyjaciel uszedł, wielka armia policzyła swe straty. Sto razy ten, którego śmierć nie chciała, żołnierz z Egiptu i z Włoch, przeszedł wielką redutę, podnosząc zabitych, ocierając twarze skrwawione, wpatrując się w zeszpecone głowy, mierząc ciała, które nie miały już nic ludzkiego. Szukał kogoś, potrzebował go, musiał go mieć. Nareszcie znalazł. Daleko, daleko od reduty, za którymś wałem trupów i koni, przed baterya jaszczyków zagwożdżonych, na sześciu artylerzystach nieprzyjacielskich, z szablą utkwioną po rękojeść w ciało feldmarszałka, oficer kirasyerów leżał pokłuty jak sito. To był Bonawentura Lavergne, z twarzą bez zadraśnięcia, z oczyma szeroko otwartemi, a w piersi dwadzieścia trzy rany.

Jan Gask ukląkł i pomodlił się.

A pomodliwszy się, wstał i wykopał rów.

W ten rów złożył ciało, które osypał ziemią.

W ziemię zaś wbił zrobiony ze ścieracza armatniego i z odłamu blachy szyszakowej krzyż.

A na krzyżu bagnetem wyrył słowa:

Mój
Biedny Bonawentura
Jest
Tu.

Tłom. *W. Bugiel.*

rs.), „Korneliusz Nepos“ w tłom. Mierzyńskiego — 1 rs. 67 k. (pozostaje 326 rs.) itd. Były to zbytki, na które nas nie stać i które nam nie przynoszą prawie żadnego pożytku, gdyż albo dzieła te mieliśmy w przekładach, albo też są one dostępne w oryginałach dla tych, których interesują.

Składki na pomnik.

W tej chwili ogólna suma składek na pomnik Mickiewicza przekroczyła już zapewne 170,000 rs., a wkrótce dojdzie do 200,000. W ogromnej masie ofiarodawców trudno odróżnić ich stany, dość wyraźnie wszakże zarysowywa się słaby udział t. z. „szlachty“ — obywateli ziemskich. Jest to zaiste bardzo dziwnem, że twórca *Pana Tadeusza* najmniej doznaje czci od tych, których w swem arcydziele rozsławił. Nie można sobie tego faktu inaczej wytłomaczyć, tylko: biedą, obojętnością, niedbalstwem i gonieniem rozmaitych „wiatrów,“ które szlachta polska nowszej formacyi lubi szczególnie chwytać.

Wysokość składek, która na komitet jubileuszowy włoży obowiązek wzniesienia odpowiedniego pomnika, stwierdza dostatecznie nasze wyrażone dawniej zdanie, że ta sprawa „sobotnim sztychem na niedzielny targ“ — tj. w ciągu roku załatwić się nie da. Jakkolwiek p. Godebskiemu przypisano w starości moc, której on nawet w młodym wieku nie posiadał, i jakkolwiek on sam obiecuje wykonać obstalunek szybko, nie możemy sobie wyobrazić, ażeby przez kilkanaście miesięcy wymodelował, wyrzeźbił i odlał z bronzu pomnik za 200,000 rs., któryby bodaj w słabym stopniu odpowiadał wymaganiom i nadziejom społeczeństwa. Chyba że to społeczeństwo będzie zupełnie pozbawione prawa sądu i przyjmie z pokorą i uznaniem od komitetu, co ten mu da z własnej i niczem nieprzymuszonej woli. Wybrał on z artystów podkomitet, który ma osądzić projekty p. Godebskiego. I znowu o czynnościach tego ciała doradczego nic nie słychać. Ale czekajmy. Ślubowaliśmy sobie cierpliwość, należy jej dotrzymać — przynajmniej do czasu, kiedy będziemy mieli już jakiś realny przedmiot oceny.

Unikat.

To, czego jeszcze nie było, zasługuje samą swą wyjątkowością na zaznaczenie. Widzieliśmy w Europie dworce kolejowe z zegarami, widzieliśmy bez zegarów, ale nie widzieliśmy nigdzie z zegarami malowanymi. Unikat ten znajduje się na froncie gmachu drogi Terespolskiej. Jaki on ma cel — trudno zgadnąć, a jaki miewa czasem skutek, zaświadczy następujące zdarzenie, którego byliśmy świadkami. O godzinie 6½ przyjechał na Pragę koleją Terespolską pewien cudzoziemiec. Oczekując dorożki, spojrzał w górę na zegar i krzyknął do żony:

— Siódma godzina! Spóźnimy się! Ach Boże mój, co za nieszczęście! Wierz tutejszym rozkładom jazdy! Co robić?

Tragikomizm sytuacyi powiększył się jeszcze, gdy kilka osób zaczęło upewniać zrozpaczonego Francuza, że zegar... pokazuje czas petersburski. Dopiero tragarz, którego zagadnięto, objaśnił ze śmiechem:

— Toć to, proszę państwa, zegar tylko malowany.

No, niechże kto powie, na co jest ten zegar malowany? Czy w celach humorystyki, ażeby daremnie straszył ludzi?

Godziny pracy.

W warsztatach, należących do dróg skarbowych, zastosowano obecnie uchwałę przedstawicieli kolei, tudzież zarządu kolei skarbowych, dotyczącą uregulowania godzin pracy robotników w dni zwyczajne i świąteczne. Uświęcona przez ministeryum komunikacyj, stała się już obowiązującą. Na zasadzie nowych przepisów, robotnicy w sobotę i w wigilię dni świątecznych, oraz świąt miejscowych, tj. takich, które nie są obchodzone powszechnie, lecz w pewnych miejscowościach — pracują tylko osiem godzin, otrzymują normalną płacę za cały dzień roboczy; rozkład zaś godzin tej pracy zależy od uznania władz kolejowych. W dni powszednie normalny dzień roboczy powinien wynosić najwyżej godzin dziesięć za płacę normalną. Zatrzymywanie przy pracy robotników w warsztatach kolejowych w dni świąteczne lub w godzinach wieczornych obowiązuje zarządy do wypłacania za każdą godzinę półtora razy więcej, niż za normalną. Za czas, przeznaczony na wypłatę należności robotnikom nie wolno czynić żadnych wyliczeń, chociażby wypłata odrywała ich od zajęć w godzinach normalnych. Jak widzimy, uchwała dla warsztatów kolei rządowych ma doniosłe znaczenie ogólne i jest pierwszym wyraźnym krokiem prawodawczym do uregulowania dnia roboczego. Dzień ten nowe przepisy określają w granicach dziesięciu godzin, przytem wyraźnie mówią i o płacy normalnej. Uchwała ta łączy się z innymi zabiegami w tej mierze. Przed paru laty przedstawiciele przemysłu łódzkiego opracowali memoryał, dotyczący uregulowania dnia roboczego i za pośrednictwem głównego Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu przesłali do ministeryum. Tam zaś w sferach sterniczych kwestyę tę poruszono ogólniej w duchu mniej więcej takim, jakim jest przyjęta uchwała powyższa. To wszystko prowadzi nas do wniosku, że jesteśmy w przededniu ważnej reformy, zbliżającej pewne działy prawodawstwa fabrycznego do uchwał, przyjętych na zachodzie Europy.

Stowarzyszenia.

Wprowadzono bardzo ważną zmianę prawodawczą, która rozszerza władzę ministrów w zakresie rozstrzygania wielu spraw, załatwianych dotychczas tylko przez komitet ministrów. Nowa uchwała usuwa zawiłą, uciążliwą formalistykę i ułatwia tym sposobem rozwój ekonomiczny i społeczny za pośrednictwem stowarzyszeń. Wskazuje ona z góry, jakie związki w zasadzie są pozwolone, ułatwia ich tworzenie i wogóle wprowadza doniosłe uproszczenia w zatwierdzaniu ustaw. Według nowych przepisów, nie od komitetu, lecz ministrów pojedynczych i głównego zarządzającego będą zależały następujące sprawy: 1) Przedłużenie terminu zebrania kapitału zakładowego Towarzystw akcyjnych. 2) Powiększenie kapitału zakładowego Towarzystw akcyjnych, o ile dodatkowy nie przewyższa pierwotnie określonej emisyi i o ile ustawa Towarzystwa nie zastrzegła w tym względzie decyzyi władzy wyższej. 3) Dodanie do ustawy Towarzystw akcyjnych lub wykreślenie z niej warunku co do sprzedaży akcyj osobom, nienależącym do Towarzystwa. 4) Zastąpienie jednorazowego pokrycia akcyi lub udziału wpłatami częściowemi, byleby pierwsza wynosiła najmniej 40% nominalnej wartości akcyi lub udziału. 5) Zawiązywanie w Królestwte Polskiem Towarzystw rolniczych, Towarzystw wzajemnych ubezpieczeń i pomocy, tudzież innych, w charakterze dobroczynnym lub społecznym, za zgodą generał-gubernatora warszawskiego. 6) Zatwierdzanie ustaw Towarzystw do urządzania odczytów publicznych dla ludu, oraz czytelni ludowych. 7) Zmiany i uzupełnienia ustaw Towarzystw i instytucyj, które poprzednio były Najwyżej zatwierdzone, lecz obecnie podlegałyby zatwierdzeniu ministrów właściwych. 8) Zakładanie kas pożyczkowo-oszczędnościowych, emerytalnych i szpitalnych, tudzież Towarzystw wzajemnej pomocy robotników i oficyalistów kopalni prywatnych i zakładów górniczych. 9) Zawiązywanie różnego rodzaju spółek przemysłowych, nie posiadających charakteru Towarzystw akcyjnych. 10) Zakładanie różnych Towarzystw naukowych. 11) Udzielanie pozwoleń na zjazdy naukowe i przemysłowe, tudzież na urządzanie odczytów publicznych. 12) Regulowanie różnych przynależności w obrębie gruntów, nadanych włościanom, tudzież uwalnianie gromad wiejskich od obowiązku zadrzewiania wyrąbanych przez nich przestrzeni leśnych. 13) Wyznaczenie nauczycielom i nauczycielkom prywatnym emerytury z funduszu specyalnego ministeryum oświaty, z prawem odstępowania poniekąd od obowiązujących przepisów emerytalnych w wypadkach godnych uwzględnienia.

Dla Królestwa Polskiego, obok wszystkich punktów wyszczególnionych, najdonioślejsze znaczenie ma piąty. Między innemi wyraźnie on mówi o *Towarzystwach rolniczych*, a więc niezbędnej instytucyi, której brak dotkliwie odczuwamy. Należałoby skorzystać z ułatwień.

Szpital dla obłąkanych.

W sferach właściwych uznano za sprawę pilną i ważną utworzenie szpitala dla dotkniętych obłąkaniem urzędników kolejowych. Obecnie bowiem te olbrzymie przedsiębiorstwa komunikacyjne w całem państwie nie posiadają żadnego przytułku tego rodzaju, a tymczasem wypadki obłędu śród pracowników kolejowych bywają bardzo częste. Według zebranych niedawno wiadomości (zdaje się przez departament) z 250,000 urzędników przeciętnie 162 na rok dostaje pomieszania zmysłów. Wobec niewielkiej liczby zakładów dla chorych na umyśle w całem państwie, oraz warunków przyjęcia, nieprzystępnych dla ludzi niezamożnych, pracownicy kolejowi, dotknięci obłędem, muszą w najlepszym razie pozostawać na opiece rodziny, jako jednostki nieprodukcyjne, obarczające innych ciężarem nadmiernym. Ponieważ najczęściej są to „głowy rodzin,“ tj. ludzie utrzymujący innych z własnej pracy, więc klęska materyalna tem jest większa. Dobrze tedy, że nareszcie koleje żelazne pomyślały o szpitalu centralnym, do którego chorzy przyjmowani będą zapewne bezpłatnie. Służba pracowników kolejowych w znacznej większości jest niezmiernie ciężka, zwłaszcza w dziale ruchu, gdzie należy zachować przytomność umysłu nieraz przez całą dobę bez przerwy. Ciągła obawa odpowiedzialności, gorączkowe natężenie uwagi, warunki materyalne, nieodpowiadające potrzebie, wszystko to stwarza grunt bardzo przyjazny dla chorób umysłowych. Tem może się da wytłomaczyć stosunkowo tak znaczny procent dotkniętych obłąkaniem. Stworzenie więc szpitala jest jednym z ważnych obowiązków kolei żelaznych względem ich pracowników. Ale przytułek dla obłąkanych nie rozwiązuje i nie załatwia kwestyi. Należałoby pomyśleć także o środkach zapobiegających obłąkaniu, tj. nie przeciążać ludzi nadmierną pracą i zapewnić im byt znośniejszy.

BADANIA NAUKOWE.

EKONOMIA I PRZEMYSŁOWCY.

Broszura Z. Heryng a*) w części teoretycznej jest tylko streszczeniem poglądów, wypowiedzianych w dziele większem. Zawiera prze-

*) Teorya i praktyka ekonomii.

cież jeszcze coś więcej. Autor *Logiki ekonomii* postanowił skłonić świat przemysłowy do dostarczania mu materyału faktycznego, mogącego posłużyć za rusztowanie dla dalszych wywodów. Zaznacza on, że w fizyce, biologii i wogóle naukach przyrodniczych dział opisowy wyodrębnił się zupełnie od teoretycznego i że w ekonomii, „gdzie ścisłość metodologiczna jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, oddzielenie systematycznego opisu od teoretycznego badania stokroć jeszcze poważniejsze ma znaczenie.“ Doręczył więc kołom. od których może spodziewać się poparcia, stosownie ułożony kwestyonaryusz.

Pragnęlibyśmy właśnie powiedzieć słów kilka z tego powodu. Wyznajemy, iż jesteśmy bardzo sceptycznie usposobieni co do dodatnich rezultatów takiego zbierania materyału. Świat przemysłowy umie dotrzymać tajemnicy zawodowej, czy chodzi o technikę, czy o stosunki ekonomiczne. W Anglii i w Stanach Zjednoczonych parlamenty wydelegowały specyalne komisye dla dowiedzenia się o tej lub o innej stronie życia ekonomicznego. Okazywało się zawsze, iż przemysłowcy umieli trzymać język za zębami lub wykręcić się sfałszowaniem faktów. Przypuściwszy nawet, iż raczą odpowiedzieć, co dla nas jest dość wątpliwe, z udzielonych wyjaśnień nie dowiemy się nic nad to, co powszechnie jest znane. Naturalnie, u nas, którzy nie posiadamy jako tako wyczerpującej statystyki rozwoju przemysłowego i stosunków ekonomicznych, nawet takie odpowiedzi mogą mieć doniosłość, chociaż nie tą, o jaką chodzi p. Z. Heryngowi. Natomiast stanowczo powątpiewamy, ażeby, nawet przy najlepszych chęciach, kwestyonaryusz, chociażby troskliwie wypełniony, zdołał cokolwiek odsłonić tajemnice teoretyczne. Widnokręgi świata przemysłowego, co do źródła wartości, stosunku kapitału do pracy, są tak zaciemnione i wypaczone, że patrząc okiem fabrykanta, nie dojrzymy tam nic, tylko to, co widzi najpospolitsza ekonomia mieszczańska. Istnieje mniemanie, jakoby ekonomiści, broniący kapitału, fałszowali prawdę umyślnie i świadomie. Są i tacy pomiędzy nimi, ale są także inni, którzy przedstawiają rzecz szczerze i w dobrej wierze. Któryś z nich odezwał się, iż ekonomia posiada zalety, obce wszelkiej innej gałęzi wiedzy: chemik musi probować odczynników i robić doświadczenia, ekonomista zaś potrzebuje wyjść tylko na spacer i wyszukiwać w swej głowie zasady, rządzące gospodarstwem narodowem. W rzeczy samej, znajduje je w niej i przebywając w pewnem otoczeniu, widząc pewne wzory, słysząc pewne zapatrywania, nagromadza w głowie swojej szereg faktów i poglądów, które na przechadzce potrzebuje tylko usystematyzować. Ekonomia mieszczańska powstała poniekąd w taki sposób i jej rzecznicy tylko to streszczali, co świat przemysłowy w dobrej wierze myślał sam o sobie. Jest ona nietylko obronicielką interesów pewnej grupy społecznej, ale także zawiera na swoich stronicach pojmowanie szczere i powierzchowne, naiwne i płaskie stosunków ekonomicznych. Ci ludzie nie mogą dać więcej nad to, co widzą w swem życiu codziennem, ani wyleźć ze skóry swojej. Prowadząc przedsiębiorstwo — mówię nie o rzemieślnikach, pracujących własnoręcznie, ale o przemysłowcach nowoczesnych — nie mają oni w swem doświadczeniu ani pojęcia o „energii,“ ani o pracy społecznej, jako potęgach wartościotwórczych, tylko koszta procederu. W księgach rachunkowych wydatki na robotnika są równoznaczne z wydatkami na materyał surowy i narzędzia pracy i nawet najwprawniejsze oko nie odkryłoby pomiędzy temi kategoryami kosztów jakiejkolwiek różnicy: wszystko to są, z punktu kapitalisty, czynniki, jednakowo uczestniczące w sprawie wytworzenia nowego produktu. Przemysłowiec wysyła wytworzony towar na rynek, obliczywszy uprzednio jego „wartość rzeczywistą,“ tj. ile produkt go kosztuje, i usiluje sprzedać powyżej tego poziomu, czyli otrzymać zysk pewien. Ów zysk znowu z punktu doświadczenia codziennego, powstał nie wewnątrz fabryki, ale pochodzi całkowicie ze stosunków sprzedaży, jako to: z umiejętności szukania odbiorców i obrotności kapitalisty, z istniejącego zbiegu podaży i zapotrzebowania. Ażeby w zysku zostawała zrealizowana t. zw. wartość dodatkowa, przedsiębiorca co do tego niema żadnych wskazówek. Ekonomista mieszczański brał te widnokręgi swego chlebodawcy i systematyzował je. Główny błąd jego polegał na tem, iż ostatecznie nie zadał sobie dwu zasadniczych pytań: 1) skąd bierze się na rynku ów nadmiar wartości na zyski dla przemysłowców; 2) dlaczego granice zysków mają pewne maksymum. Gdyby zastanowił się nad tem, może doszedłby do pojęcia o wartości dodatkowej (ogólno-społecznej) i do jej stopy narodowej, tj. wydaliłby się z widnokręgów gospodarstwa indywidualno-towarowego na tory ogólno-społeczne. Ale nie zrobił tego i zagadnienie w początku zysków sprowadził do kwestyi, od czego zależy cena towarów, koszta poplątał z kategoryą potęg wartościotwórczych, uwikłał się w grę popytu i podaży. Indukcya była jego ukochaną metodą badań i naturalnie okazała się tem, czem jest istotnie: w naukach ekonomicznych daje ona tylko to, co już jest w mózgach ludzkich, tj. najpospolitszem i najbardziej nieokrzesanem narzędziem rozbioru naukowego. Ażeby dokonać przewrotu w sferze poszukiwań ekonomicznych, trzeba było spojrzeć na stosunki ze zgoła innego stanowiska i przedewszystkiem przejść od widnokręgów subjektywizmu indywidualno - towarowego do objektywnych, ogólno-społecznych, oświetlić cenę tylko jako środek podziału ogólno-społecznej wartości dodatkowej pomiędzy kapitalistów. Tylko na takiem podłożu mogło zjawić się pojęcie o pracy jako o potędze wartościotwórczej. Ale dla dokonania tego wszystkiego trzeba było wyleźć ze skóry kapitalisty, tj. nie żądać jego poparcia, ani wskazówek.

Właśnie z tych względów mniemamy, że w zasadniczych, teoretycznych zagadnieniach kwestyonaryusz p. Z. Heryngajest utopią, co zaś do wskazówek natury opisowej, może coś dostarczy, jeśli przemysłowiec będzie miał chęć po temu i interes.

Z wskazaną utopią jest w pewnym związku jeszcze inny szczegół — właściwy autorowi sposób pojmowania zadań nauki ekonomicznej.

„Nauka ekonomii — pisze p. Z. Heryng—to zastanawiające przedstawia zjawisko, że praktyczni działacze w odpowiednich dziedzinach życia społecznego, a więc kupcy, przemysłowcy, przedsiębiorcy, bankierzy — w słabym stopniu, a nawet często wcale się nie interesują wynikami badań teoretyków w tej dziedzinie pracujących. Podczas gdy lekarz, prawnik, inżenier, technik bezustannie zaglądają do ksiąg, z których dawniej wiedzę swoją czerpali i za dalszym jej rozwojem skwapliwie śledzą, przedsiębiorca, kupiec, bankier na rezultaty badań ekonomicznych spoglądają albo obojętnie, albo z odcieniem lekkiej, ironią zabarwionej pogardy. Rozdźwięk pomiędzy teoryą a praktyką ekonomii występuje tak ostro, iż trudno jest sobie przedstawić np. dyrektora nowoorganizującego się przedsiębiorstwa, któryby zdecydował się radzić swemu zarządowi, aby dla usunięcia narzucających się przy organizacyi wątpliwości zasięgnąć porady u teoretyków-ekonomistów.“

W powyższym ustępie p. Z. Heryng przedstawił tylko istniejący stan rzeczy. Z pewnych napomknień można przecież wywnioskować, jakoby rozdźwiękowi takiemu dało się zaradzić i że naówczas ekonomia polityczna mogłaby się stać podręcznikiem dla panów dyrektorów i innych przemysłowców. Niektórzy autorowie wypowiedzieli ten sam pogląd w sposób jeszcze jaskrawszy. Naszem zdaniem, takie życzenia dowodzą zupełnego zapoznawania badań ekonomii politycznej lub raczej wykoszlawiania ich pod wpływem zapatrywań gospodarstwa indywidualnego. Nauka ta bowiem nie bada warunków dobrobytu przedsiębiorstwa indywidualnego, ale gospodarstwa ogólno-narodowego, ma na widoku udzielanie wskazówek nie dyrektorom fabryk i innym tego rodzaju działaczom praktycznym (do tego służą buchhalterya, nauka finansów, znajomość towarów), lecz mężom stanu, politykom i innym osobom podobnego kroju. Ekonomia polityczna stała się dzisiaj, zresztą była zawsze, narzędziem walki klasowej, tj. sformułowaniem tego, w jaki sposób każda grupa interesów społecznych patrzy na społeczeństwo i jego zadania gospodarcze. Świat przemysłowy może ją wyzyskiwać i wyzyskuje praktycznie — ale nie w obrębie fabryki lub rynku, tylko na widowni zapasów społecznych! Inaczej być nie może.

Z.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NASZEJ TECHNIKI LITERACKIEJ.

I.

Opowiadania, zawarte w nowym tomie prac Kościeszy, nie są dziełami wybitnemi i nie pozostawią śladu po sobie tak trwałego, jak „Mrówki.“ Jest to przecież *przyzwoita robota literacka*, gęsto okraszona humorem w *bardzo dobrym gatunku* — i czyta się mile.“ Nie dziw się, czytelniku, że w tak dziwaczny sposób usiłuję cię wprowadzić w tajniki naszego kunsztu literackiego, ani się frasuj, że użyciem tej cytaty obrażę jej autora, bo onby sam jej nie poznał po przez legiony zdań własnych, które napisał i wydrukował później, w ciągu roku. Chociaż niemniej przeto nie przestanie ona być dzieckiem jego właśniutenkiego pióra, mimo że „Kościesza“ i „Mrówki“ są listkami figowymi, przeze mnie na realnym pisarzu i jego utworze położonymi... Ale raczej powiedz otwarcie, czy nie brzmi tu ton kupiecki?

Dźwięczy on dziś już coraz częściej i wyraźniej w ocenach i „wzmiankach“ naszych recenzentów. „Robota“ literacka, humor „w dobrym gatunku“ — to *modus dicendi*, żywcem ze sfery handlarskiej zapożyczone. Są one nader znaczące. Ma to być zachęta dla czytelników do spożywania strawy, którą krytyk, jako rzeczoznawca, przecedził przez zęby i posmakował językiem. Znać tu też układne podskoki subjekta handlowego, zachwalającego nabywcy wartość użytkową towaru danej firmy. Właściwy, z krwi i kości, subjekt, który siedzi we właściwym sklepie u stołu księgarskiego — jest tym sposobem zwolniony z obowiązku wychwalania towaru wobec ogółu. Rolę tę spełniają: reporter i krytyk... Czytelnik przekracza próg księgarni już należycie powiadomiony, zachęcony, „zagrzany“ przez subjektów, obsiadających stół redakcyjny.

Dawniej, gdyśmy jeszcze nie znali ani reporterów, ani ich „królów,“ a literat nie

mierzył płodów swej myśli na łokcie i grosze, „robotą" nazywaliśmy tylko fuszerskie, nieudolne, bezmyślne twory literackie. Był to wyraz pogardy. Przeprowadzaliśmy niejako analogię pomiędzy marnem i kiepskiem dziełem, a wynikiem fizycznej pracy rzemieślnika. Cierpiała na tem porównaniu fachowa i nawet ludzka godność prawdziwego rzemieślnika, jak cierpi cześć psa, osła i nierogacizny, kiedy je bierzemy za skalę naszych sądów moralnych, w rodzaju: „wierny, jak pies," „uparty, jak osioł" itd. — ale leżało to w duchu czasów minionych... Dziś nawet, zgodnie z tradycyą, nazywamy powszechnie „robotą rzemieślniczą" takie książki, jakie są pisane bez przekonania, bez natchnienia, z musu zarobkowego — na obstalunek. Jeżeli zaś obecnie niektórzy literaci nasi coraz częściej w swoich recenzyach nie wahają się nazywać „robotą" nawet „pereł" piśmiennictwa i utworów z istotnym talentem pisanych — dowodzić to może tylko tego, że oni już zaczynają uświadamiać sobie naturę psychologiczno-społecznych warunków swej twórczości, że już coraz wyraźniej odczuwają, czem są właściwie.

A są niegorszymi fachowcami od szewców, krawców, rymarzy — najemników fabrycznych. Niejeden z nich poznał już smak tego, co to się zowie „pisać na obstalunek" — okolicznościowo, w ramkach, określonych z góry... Niejeden wyczuwa własną skórą, co to znaczy dzień w dzień dźwigać taczkę dziennikarską: fejletonisty na urząd ucieszonego, sprawozdawcy teatralno-koncertowego, publicysty od wróżb politycznych itd. Dźwigać ją bez względu na to, jakie jest barometryczne ciśnienie w duszy: czy w niej gości wiosna, słońce i wesele, czy też słota, chłód, posucha i smutek — pogoda, czy burza. Bezustanna mustra szarych, oklepanych myśli, przeżuwanie siebie samego przez lata całe, pewien automatyzm pisania, brak częstokroć wiary w to, co się pisze—wszystko to społem czyż nie sprawia wrażenia, zwłaszcza na dziennikarzu, że owoc jego niemal mechanicznych wysiłków jest—„robotą?" Sam, z własnego doświadczenia, znam bardzo znamienne zjawisko psychologii „twórczości" literackiej. Zdarzało mi się czasem „tworzyć" jakiś artykuł publicystyczny — dajmy na to, o jakiejś kwestyi, „bieżącej" dla szarej, codziennej fali życia — pod tak wrogo obcym mojej osobistej treści naciskiem zewnętrznym, że po napisaniu go, brała mnie doń nieprzeparta odraza i pogarda. Był on dla mnie i z przedmiotu i z opracowania jakiemś ciałem obcem, które wyrzucałem z obrzydzeniem, z którem rozstawałem się skwapliwie, jak z intruzem — ze zmorą. Mała to rzecz, myślicie, zajmować się parę godzin i pod naganką zecera przedmiotem, którego nie jestem twórcą, bo go zastałem przed sobą na świecie, któremu coprędzej i z całej duszy pragnąłbym postawić już nagrobek, bo on urąga Ideałowi mojemu, z którym radbym widzieć serce, myśl i wolę jednostki ludzkiej w stosunku jaknajzażylszym?.. Mała to rzecz zajmować się z musu takim przedmiotem, z którym nie są w przymierzu uczucia moje, i sądzić o nim w kategoryi i na podstawie zdań opinii panującej lub teoryj i poglądów sakramentalnych, przede mną spłodzonych i w kanon zebranych; odchylać się od nich tylko o włos, a całe półki moich własnych, szczerych sądów, cały ich atak, gwoli przezorności, odepchnąć, odpędzić za granice wymierzonego okólnika?.. W takich warunkach psychologicznych coś pisanego kazało mi je wyczuwać, jako wprost — „robotę." Niesmaku i przesytu pełny, traciłem całkowicie miarę wartości w moim „obstalowanym," niewolnym „utworze..." „Kto się odważy drukować to i czytać?" — pytałem siebie z goryczą i wzgardą. Kiedy zaś potem ten mój płód wymusu umizgał się do mnie bezczelnie czcionkami ze szpalt pisma, to wydziwić się nie mogłem, że miano nad nim litość... Trudno mi było dojść z tem do ładu, że moja podmiotowa, ujemna ocena wytworu, mieszcząca w sobie niemal wyrok potępienia, tak dalece nie miała wpływu na jego przedmiotową ocenę i decyzyę drukowania. Z czasem zrozumiałem tę niewspółmierność skal. Istnieje ona — i nietylko w tym wypadku — na całej linii zetknięcia dwóch światów: wewnętrznego z zewnętrznym. Szło tu nie o mój hedonizm pisarski, nie o wygodę, ani tem bardziej o mój jakiś „zbytkowny" na nasze czasy, samorozwój moralny, ale poprostu o pewną ilość wierszy, zdań informacyjnych dla ogólnego deptaka myślowego, o rzeczywistości starej, oklepanej, czyli jednem słowem, dla tegoczesnego „rynku duchowego..."

Tak więc, nie jakimś statystyczno-doktrynerskim sposobem, nie osobliwą, na cudzych liczmanach-abstraktach gimnastyką po nad życiem wykonaną, ale *in anima vili*, żywem, osobistem doświadczeniem — *wyczułem* w swojej duszy dwa powijaki życia gromadzkiego, dwie narośle fachowości: „robotę" i towar." Nie wiem, czy wielu moich kolegów po piórze śledziło w sobie i przebywało podobny do opisanego proces. Wątpię też, czy ktokolwiek z nich jest „samowsobnie" taką mimozą pod tym względem. Być może, iż w pewnym stopniu — tak. Ale nie uświadamiają tego sobie. Uświadomieniu temu bowiem u większości zawadza „miłość ojcowska" do „zamówionych" płodów myśli... i sprawia to, że, pozornie pogwałcenie wewnętrznej swobody zdaje się nie istnieć i, co za tem idzie, poczucie „wyrobnictwa," które z wyżyn ideału godności umysłu ludzkiego oddawna jest już widocznem — schodzi przed sumieniem zwiedzionem do zera...

Ale natomiast nie brak innej, naturczywszej okoliczności, której nacisk rodzi i rozwija w pracowniku pióra przeświadczenie, że wynik jego wysiłków jest przynajmniej — „towarem." Literat pisze artykuły i utwory większych rozmiarów — z myślą o zarobku. U większości bywa ona panującą i tak natrętnie a nieustannie obecną, że idealny czynnik tworzenia — idea, myśl przewodnia — ustępuje jej pierwsze miejsce, a sama lękliwie cofa się wgłąb, na drugie, na trzecie. Kiedy on pisze cośkolwiek na oznaczony czas i w ramkach określonych z góry, to przyświecają mu trzy, o niejednakowem natężeniu, światła. Pierwszem jest zwykła lampka naftowa, drugiem — znacznie większa i i jaśniejsza lampa honoraryum, gdzie knot stanowi rubel, oliwę ilość wierszy. I wreszcie trzeciem—gasnący w blasku tamtej, migotliwy, żółty płomyk łojówki.

Ta łojówka — to myśl przewodnia, teza, zasada...

Z po za każdego wiersza pstrzącego papier wyglądają grosze, z po za każdego artykułu — ruble. Literat pisze — tworzy... Myśl jego kołysze się na złotych promieniach „lampy honoraryum." „Łojówka" myśli, zapalona w tamtej ogniu, skwierczy, kopci. Paski papieru, przykrojone do szpalty dziennika, zwolna zapełniają się wierszami. Ich wartość zamienna górnje nad użytkową — nad treścią wewnętrzną. Ta płynie utartym latami szlakiem: szaro, nałogowo — z automatyzmem ruchów pasa transmisyjnego. Rozkosz umysłowa, towarzysząca stanom istotnie twórczym, rozwijającym, rodzeniu się nowych, światowładnych, oślepiających idej i ich głębokich skojarzeń—gdzie ona? Nie pytajmy... Jest tylko zadowolenie wynikające z wynalazku dźwięczniejszego frazesu, ozdobniejszego desenia w szarej tkaninie myśli — efektowniejszych esów i floresów, kwiatuszków stylowych, osłaniających pustkę, starą kość jałowego życia, ogryzaną codzień z przerażającą cierpliwością. Do tego dodać trzeba radość, którą budzi mnogość wierszy i nadzieja bliskiej wymiany ich na równoważnik brzęczący. Ona też u większości czeladzi prasowej zastępuje całkowicie przyjemność—siły umysłowej. Hedonizm tego rodzaju, czysty, gdyby nawet usiłował zjawić się, musiałby w zarodku zamrzeć — wobec ciśnienia, jakie na wolność przebiegu myśli i uczuć wywierają warunki zarobkowe: obstalunek wydawców i redaktorów.

Literat, choć temu pozory kłamią, bywa tedy częstokroć pozbawiony zupełnie inicyatywy własnej. Bodziec do „dzieła" i plan daje mu — za pośrednictwem wydawcy czytelnik-spożywca. Pokornej indywidualności te szczupłe ramki nie zawadzają, ale duszom, wybiegającym nad przeciętność, jest w nich jak w łożu Prokrusta. Skromny czeladnik cechu literackiego godzi się wybornie z tym stanem rzeczy i dostraja do niego zupełnie, bo stosunek jego do „targowicy duchowej;" tj. do upodobań czytelników, jest taki sam, jak stosunek drobnego rzemieślnika do rynku materyalnego — do spożywców obuwia lub wyrobów tokarskich. Obaj pomiędzy sobą a odbiorcami mają pośrednika, przed którym muszą ugiąć karku, jako przed znawcą potrzeb, nastrojów i kaprysów swego rynku. Różnica jest tylko w nazwie, nie w rzeczy. Tem się tłomaczy fakt, że nawet wybitny publicysta najczęściej bywa biernym wykonawcą myśli wydawcy, podyktowanej przez ogół czytający. Mówię tu, ma się rozumieć, przedewszystkiem o tych pismach u nas, które dla interesu zrzekły się przodownictwa w opinii i natomiast, schlebiając bezwładowi, kołyszą ją do snu...

Nie dziw więc, że wobec tego to tylko jest własnością literata w wytworze, co on mu da ze swych uzdolnień fachowych: styl, ozdoby krasomówcze, kilka nieśmiałych, lecz licujących z tłem narzuconego wątku — myśli. Przekonania własne, jeśli je ma, zostawić musi za drzwiami redakcyi, bo ona jest przeważnie sklepem przedmiotu użyteczności publicznej, czyli „towaru," tj. przeciętnych mniemań przeciętnej powszechności czytającej... Musi on je schować głęboko w tajemnicy, tem bardziej, że redakcya, obsługująca liczniejszą a szarą klientelę, jest zarazem i przedsiębiorstwem, zapewniającem kierownikowi — *rentę wydawniczą*. Próg ten bez ustępstw — trudno przekroczyć... Wydawca we własnym interesie stoi na czujnej straży szablonu i oklepanek „rynku duchowego." Cały więc towar literacki, nie wyłączając nawet arcydzieł beletrystyki naszej — wylewa się w formach tego rynku.

Wielu z nas literatów mogłoby do tego luźnego szkicu dorzucić sporo szczegółów z własnego doświadczenia i poprzeć mnie żywym dowodem. Nie taimy się między sobą z tem, że każdy, ukazujący się na szpaltach pisma patronalnego artykuł swój witamy — łokciem. Jak przypisaniu jego biedna tułaczka Idea, za którą z profesyi „kruszymy"... pióro, wybladła wobec życia, osierocona przez macierzystą, może już dawno z księgi żywota wykreśloną głowę czyjąś, stała za naszemi plecami, za mozaiką potrzeb „kulturalnych," za sarabandą rzeczy, których łakniemy, tak i potem, kiedy „dzieło" nasze zamrowi się milionem murzynek - czcionek, nie tyle cieszymy się jej losem, jej przeniesieniem do bliźniej głowy, co ilością wierszy, których potokiem, na złe czy dobre, ma on wtargnąć do czyjejś inteligencyi, żeby ją uśpić lub zbudzić, zatrzymać, cofnąć lub ruszyć z miejsca — naprzód... Ilość wierszy — ilość groszy. Słyszeć można powitanie takie:

— Winszuję ci! Artykuł twój zajął cztery szpalty aż w trzech numerach!

Solenizant wie, o co idzie. A u winszownika, gdyby się dobrze wsłuchać, słyszałoby się połykanie śliny.

(D. n.).

Zyg. Pietkiewicz.

WILEŃSKA WYSTAWA MALARSKA.

Były już i przedtem wystawy malarskie w Wilnie (p. Pawłowskiego z Warszawy i p. Trutniewa z Wilna), wszakże obecnej, trwającej od 13 maja do 15 czerwca, przysługuje niemal miano pierwszej. Ona bowiem objęła o wiele szersze koło uczestników i płócien, ona bezspornie pierwsza pokusiła się o próbę zaszczepienia wśród Wilnian zamiłowania i uczucia potrzeby sztuk pięknych. Rzecz prosta, że mamy tu na myśli nie wyjątki nieliczne, ale masy, dla których malarstwo istniało dotąd w jednej postaci — obrazów religijnych.

Dziś już jesteśmy w możności dokładnego rozpatrzenia się, o ile rezultaty odpowiedziały oczekiwaniom w najszerszym zakresie i rozumieniu. Jakoż doświadczenie przekonało, że wystawy malarstwa w Wilnie mają racyę bytu i obiecują w przyszłości znaczny i niewątpliwy rozwój. Ten szczegół może się przydać dla tych wszystkich, którzy zeń skorzystać zechcą.

Dane w cyfrach tak się przedstawiają. Wystawę przez cały czas istnienia zwiedziło przeszło 6 tys. osób (ściślej 6 tys. odwiedzin), z tej liczby 1,550 przypadło na korzystających z biletów honorowych i bezpłatnych, pozostało zaś 4,500 należy podzielić przez 2, aby otrzymać 2,250, czyli całą liczbę osób, zainteresowanych wystawą. Ani słowa, że na 160,000 ogółu mieszkańców ta ilość wydaje się nieco za małą, lecz z drugiej strony trzeba wziąć pod uwagę okoliczności niesprzyjające, a więc: współczesną obfitość innych rozrywek, epokę zamiejskich wycieczek i nieobecność w mieście wielu osób najzamożniejszych, a tem samem już najbardziej obeznanych ze sztuką i przyzwyczajonych do obcowania z nią. Te same okoliczności osłabiły nieco i chęć kupna dzieł sztuki, lubo nie można utrzymywać, że rezultaty są marne, skoro sprzedano 29 obrazów na sumę przeszło 2 tys. rs.

Pozostaje nam teraz zrobić krótki przegląd utworów.

Wystawa otrzymała pomieszczenie bezpłatne w dwóch salach szkoły rysunkowej rzemieślniczej; to było powodem, że musiano ograniczyć liczbę sprowadzonych obrazów, a już nadesłane podzielić na dwie zmiany; z tegoż samego powodu wiele obrazów miało przed sobą bardzo ograniczone miejsce dla widzów i musiały być oglądane w niewłaściwej odległości. Jeszcze gorzej działo się ze światłem, bardzo niejednostajnem i niedostatecznem, czemu usiłowano zaradzić ustawicznem przemieszczaniem, przynajmniej mniejszych obrazów.

W ogólności wrażenie otrzymywało się dodatnie i tylko w części psuł je kramik... z reprodukcyami fotograficznemi jednej z firm warszawskich *).

Na wystawę w oddziale zamiejscowym 66 artystów dostarczyło 150 dzieł sztuki, w oddziale zaś wileńskim zebrano przeszło 100 obrazów i szkiców bądź jako pamiątki po zgasłych artystach wileńskich (26), bądź też jako prace dziś żyjących i z Wilnem związanych urodzeniem i zamieszkaniem (14).

*) Tu zapisujemy dla ścisłości, że kramik ów dał niepomyślne rezultaty kasowe dla przedsiębiorców wystawy.

Wszystkie prace malarzów warszawskich i krakowskich są aż nazbyt dobrze znane, z wyjątkiem kilku tylko, dla których wystawa wileńska jest pierwszym debiutem. Ba! były nawet i takie, które całemi latami przebywały w salonach Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, niemniej jednak wybrały się na letnią przejażdżkę może z przychylności dla grodu Gedyminowego. Tak dobrze znana „Zosia“ Maleszewskiego tu właśnie znalazła nabywcę, lubo dotąd autor miał wiele niepokoju o przyszłość tej... panienki.

Nie możemy atoli powstrzymać się od wypowiedzenia kilku spostrzeżeń o niektórych pracach, już choćby w tem znajdując dla siebie usprawiedliwienie, że to będzie dowodzić naszej uwagi i zajęcia się pracami tak pożądanych dla Wilna gości. Wogóle na wystawę przybyło sporo prac bądź szkicowych, bądź też bardzo niedbale wykończonych, co w pewnej mierze pozwala domyślać się, że według pp. malarzy Wilno w sprawach sztuki niedaleko odbiegło od... Lapończyków. Do takich musimy zaliczyć kilka prac: Słupskiego, Wejcherta, Lindemana, Bierkowskiej, Biernackiej, Nowakowskiego, a wreszcie „Pieniądz“ Stasiaka i „Studyum haremowe“ Fr. Żmurki (ocenione przez autora na 1,000 rs.). Ów „Pieniądz,“ lubo efektownie i bardzo dekoracyjnie traktowany, robi wrażenie ujemne dzięki temu, że uosobienie w postaci ludzkiej jest co najmniej komiczne; głowa Molocha zaledwie pasowałaby do figury o połowę mniejszej. W podobny sposób traktuje widza i Fr. Żmurko. Artyście wolno jest odtwarzać jeden i ten sam model ludzki w kilku, a nawet w kilkunastu dziełach, chodzi jednak o to, aby każde było odtworzeniem jakiegoś motywu modelu, jego strony złej lub dobrej, ale prawdziwej lub choćby prawdopodobnej, a tymczasem „Niewstydząca się“ jest jeno kopią z głowy kilku prac poprzednich i kopią nie najlepszą, a jej tors budzi litość kalectwem bądowy, lubo zdaje się być z materyału łatwego do wyrobienia — z wosku. Z pięciu studyów Fr. Żmurki „Główka z palmą“ robi najkorzystniejsze wrażenie i zdaje się być utworem dobrej woli artysty. Wszystkie prace powyższe oburzają widza, bo dają pochop do posądzenia malarzy o... lekceważenie publiczności.

Nie mogą się również podobać takie prace, jak ginąca na tle zupełnie niepotrzebnego ogromu płótna „Św. Salomea“ W. Gersona, „Chrystus“ E. Dukszyńskiej, spowity w szatę tekturową, bez dolnej szczęki i zębów, „Milusińscy“ F. Ciechockiego, jako nader naiwna w tłomaczeniu i wykonaniu legenda o roli bocianów w zachowaniu rodzaju ludzkiego i „Pielenie“ Rozena, które równie dobrze mogłoby być nazwane suszeniem kilku jaskrawych plam na słońcu.

Za to z prawdziwą przyjemnością patrzy się na takie dzieła, jak: „Rybak“ Kędzierskiego, „O cudzą szatę“ i „Promienie światła“ J. Maszyńskiego, „Pejzaż górski“ W. Gersona, „Spalona chata leśnika“ i „Wnętrze chaty“ Alchimowicza, „Damascenka“ Pawliszaka, „Pejzaż szwajcarski“ Maleckiego, „Portrety“ dwa Andrychiewicza, akwarele Dymitrowicza i Tondosa, „Co z niego będzie?“ Kanigowskiej, prześliczne dawniejsze akwarele J. Kossaka „Hrabia Morsztyn,“ „Szwed po bitwie“ i „Tabun koni,“ pejzaże Oknińskiego i Dąbrowskiego, oryginalnie, może aż nazbyt jednostronnie wyzyskany „Chrystus w Ogrójcu,“ tak w kompozycyi jak i technice malarskiej Niewiadomskiego, „Zniechęcony“ o silnej plastyce i głębokiej prawdzie W. Trembacza, pejzaże Wrońskiego, lubo nieco fantastyczne w kolorze, „Owoce“ Łukomskiej i „Kwiaty“ Wiesiołowskiej, jako pierwowzory starannej i sumiennej pracy kobiecej — i wiele innych jeszcze.

A „Westalka“? Ta westalka robi potężne wrażenie, daje chwile prawdziwej rozkoszy, ale budzi następujące uwagi. Artysta dobrze wyraził fizyologiczne przerażenie i odruchową oporność istoty, mającej być żywcem pogrzebaną, ruch głowy, ramion i piersi jest wyborny, ale tych ruchów nie wspiera pozycya bioder i dolnych kończyn, co powinnoby być zaznaczone pod właściwą szatą. I o tę szatę chodzi nam również, bo wszak to ona wraz z tą doskonale współczesną kanapką nasuwa myśl, że ta westalka jest... bardzo współczesną, lubo źle i niemodnie ubraną kobietą. Mimowoli, patrząc na to dzieło, zmienialiśmy jego tytuł na „Kobieta walcząca za prawa sobie należne,“ obraz nawskroś współczesny i wybornie się tłomaczący. Szkoda również, że pozycya ramienia (może umyślna?) nie dała możności zapisania na twarzy ogromu wrażeń psychicznych.

Dodać jeszcze musimy, że nie świetnie się wiodło naszym impresyonistom w Wilnie, gdzie się ma ze wszech stron setki przepięknych i bogatych widoków w okolicach podmiejskich i możność zbierania bogatych obserwacyj. Przeciętny Wilnianin ma niemal już wrodzone poczucie prawdy i naturalnego kolorytu o całem bogactwie odcieni; nie dziw więc, że z uśmiechem trochę ironicznym patrzył na dziwactwa... najbardziej współczesne.

Na wystawie były tylko dwie rzeźby: „Portret R. Römera“ w bronzie, Oskara Sosnowskiego i „Męczennik“ Wasilkowskiego w oddziale zamiejscowym i kilka drobniejszych prac w gipsie niedawno zmarłego Alfreda Römera, głównie znanego z prac malarskich nietuzinkowego talentu.

W dziale wileńskim wystawa dała próbę cennego i miłego, acz niezbyt starannie ułożonego obrazu przeszłości. Zapiszmy w pamięci owych dwudziestu sześciu, którzy się może już nigdy jednocześnie nie spotkają, którzy rzucają hojną garść świetlanych promieni. Toć to przecie bogaty przyczynek do dziejów rozwoju malarstwa polskiego, które, niestety, dotąd nie znalazło specyalnego historyka. Wszak owe skarby sztuki po zmarłych przodownikach dla współczesnych malarzy mogą być niemal szkołą, a niewątpliwie wskazówką i istną biesiadą ducha. Groby zazwyczaj nie budzą zawiści, a wawrzyny, przyznawane zmarłym, nie ujawniają nieraz bolesnych i smutnych stron współzawodnictwa... Tak być powinno, czasem — gdzież niema tego „czasem“ — bywa inaczej.

A więc zapamiętajmy owo nazwiska, z których niejedno nosili niemal pionierzy malarstwa polskiego: 1) Andriollego dwie mało znane prace: portret pani Wikszemskiej i „Chłopiec,“ studyum z epoki prac pierwszych. 2) A. Bilińskiej: „Głowa dziewczęcia,“ studyum. Prace powyższe obojga artystów mają wiele wspólnych cech w pomyśle i wykonaniu, odzwierciedlają wybornie podniosłość ducha twórców, lubo dziewczę Bilińskiej więcej się zbliża do doskonałości kolorytem i wypukłością. 3) Sz. Czechowicza widzieliśmy jedyną drobną pracę — zarys ołówkowy własnego portretu. 4) Winc. Dmochowskiego trzy pejzaże i dwa obrazki rodzajowe, uderzające drobiazgowością wykończenia, jakby dla przeciwstawienia pracom współczesnym „ex promptu.“ 5) Nap. Iłłakowicza: portret Kopernika ze sztychu; artysta dorabiał się sławy i uznania głównie za granicą: ten Kopernik musi być utworem lat młodzieńczych, gdyż nie usprawiedliwia tego uznania, jakiem się cieszył artysta np. w Anglii. 6) L. Kondratowicza (Syrokomli) dwie prace: bardzo słaby dworek Mickiewiczowski w Nowogródku i o wiele lepszy a przez poetę ukochany „Zaścianek litewski,“ malowany prawdopodobnie przy całym udziale

gorącej miłości przygodnego artysty, a niewątpliwe o nader wdzięcznej i prawdziwej szacie. 7) Majeranowskiego (ucznia Kaulbacha): dwa portrety wyborne, acz w tonie koloru przypominające szkołę holenderską. 8) Marszewskiego: aż 9 prześlicznych krajobrazów, które stanowią pełny wyraz chwały i zasług tego niepospolitego pejzażysty, który sam w sobie stanowi szkołę o wysoce zarysowanem poczuciu piękna i prawdy. 9) J. Moraczyńskiego — który zapisał się w pamięci sobie współczesnych jako mistyk, niemal jako apostoł dość oryginalny — „Na morskiem wybrzeżu" jest odwzorowaniem zalet, a bardziej jeszcze wad artysty pod względem kolorytu i rysunku; twórca to był gorączkowy i pełny często dziwacznej samorzutności. 10) J. I. Kraszewskiego: z liczby prac wielu — kilka szkiców drobniejszych ołówkiem i piórkiem, zebranych z Wołynia i Polesia. 11) Cyp. Norwida: szkic piórkowy „Mojżesz." Cóż za niespodzianka, a zarazem jakież wymowne świadectwo temperamentu i zdolności zmarnowanego poety! Ten Mojżesz, silny i namiętny, zdaje się mówić głosem tak wielkim i pełnym uczucia, bo zwróconym do ludu wybranego, jak wielkiem i namiętnem było słowo zmarłego artysty. 12) Rafałowicza: portrety: własny, matki i siostry (p. Hojbowiczowej), wszystkie trzy świadczące o ogromnym talencie i znakomitej technice tak wcześnie zmarłego malarza, który w niewielu pracach wzniósł sobie pomnik niewzruszonej pamięci. 13) Alfr. Römera: kilka prac wybornie ilustrujących talent i inteligencyę autora. 14) Edw. Römera (ojca Alfreda): prace, świadczące niejako o dziedziczności talentu w tej gałęzi rodu. 15) Kanuta Rusieckiego. Któż nie zna lub choćby nie słyszał o tak popularnej na Litwie „Litwince z wierzbą"? Obrazek niewielki, ale to dziewczę w stroju wieśniaczym, przedstawione w kruchcie kościelnej, w tysiącznych reprodukcyach obiegło Litwę, zdobiąc zarówno pałace i dworki, wszędzie budząc zachwyt i uznanie. Jeszcze kilka prac lubo ładnych i pełnych życia, jak „Główka dziewczyny" i „Leśnik z pod Kojran," bledną wobec chwały i popularności „Litwinki." *Non multa, sed multum.* 16) Jana Rustema, owego Turka-Polaka, znakomitego profesora uniwersytetu wil., widzieliśmy niesłychanie trudną do zebrania większą liczbę prac: trzy własne portrety (kredkowy, olejny i sepią), dwa portrety dwu żon i kilka obrazków rodzajowych dostatecznie oświetlają rodzaj talentu artysty i drogi jego rozwoju, a był to przecie niemal pionier malarstwa na Litwie. Wszakże największą jego zasługą było stworzenie szkoły swojskiej i chlubna działalność pedagogiczna na polu malarstwa i rysunku. Wielu lepszych późniejszych malarzy należy do jego uczniów. 17) Karola Rypińskiego: jedyny drobiazg, udatny portrecik L. Kondratowicza. 18) Ślendzińskiego (ojca) i 19) Smokowskiego, profesora: po kilka obrazów i szkiców drobniejszych, wybornie ilustrujących chwile przeszłości; osobliwie Smokowski w kierunku ilustracyjnym zdradzał ogromne zdolności. 20) Straussa, artysty świeżo zmarłego, zamkniętego w sobie: jedyny rysunek Halbana z „Konrada Wallenroda." 21) Walent. Wańkowicza: kilka robótek kredkowych o wytwornym i delikatnym rysunku. 22) Szemesza: portret większy olejny jego przyjaciela L. Kondratowicza. 23) Worobjewa, Rosyanina, rozmiłowanego w Litwie i rodzinie żony: trzy rysunki widoków Wilna i Trok. 24) Smuglewicza: dwa studya olejne, szkic plafonowy „Walka Jowisza z Tytanami" i piękna akwarela, przedstawiająca fresk Rafaela. 25) Zienkiewicza: kilka prześlicznych akwarelek z Włoch i portret Żydówki wileńskiej, może pamiątka jakiegoś idealnego uczucia artysty. 26) Alb. Zametta, godnego towarzysza Marszewskiego, znakomitego pejzażysty, pięć krajobrazów i widoków z Litwy i Włoch. Motywy z Włoch malowane gorąco i połyskliwie, a obok smętna, niecco zamglona przyroda litewska, niby zimna i uśpiona, a tak droga w odczuciu dla tubylców.

Tyle to skarbów prawdziwych dobyła na szerszą widownię wystawa malarska i już to jedno wystarczyłoby na słowa gorącego uznania dla jej twórców.

Dla pełności i niby dalszego ciągu malarstwa wileńskiego godzi się wspomnieć współczesnych: Bol. Rusieckiego, Edw. Römera (brata Alfreda), Helenę Römer (jego siostrę), której obrazek „Cztery konie, trzymane przez żydów," jest prawdziwą perełką, Bohusz-Siestrzeńcewicza, którego liczne prace, lubo trochę niedbałe, dają miarę ogromnego talentu i zasługują na uznanie za swojskość motywów, Winc. Śledzińskiego, artystę przeżywającego już swoją sławę portrecisty przed laty, Karola Witkowskiego za oryginalnie malowany choć nie samodzielnie pojęty obraz „Stella matotina" i pannę Hartung, artystkę młodą, lecz obiecującą.

Jakże ochoczo kreślimy wystawie tegorocznej słowa gorącej i miłej pamięci!

Napoleon Rouba.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. „Dziejów powszechnych ilustrowanych" wyszły z. 159—161.

— Zbioru fotografij, wydawanego przez K. Woźniaka p. t. „Kraj w obrazach," ukazał się z. 2-gi.

POWIEŚCI. A. Dygasiński: „Dramaty lubądzkie" (str. 134). T. Paprocki.

— K. Junosza: „Zagrzebani," z życia wiejskiego (str. 258). Gebethner i Wolff.

Tegoż: „Suma na Kocimbrodzie" (str. 200). Dubowski i Gajewski.

— M. Konopnicka: „Nowele" (str. 342). Gebethner i Wolff.

— H. Sienkiewicz. „Na jasnym brzegu" (str. 163). Gebethner i Wolff.

POEZYE. J. Klemensiewicz: „Poezye" (str. 125).

— A. Fredro: „Dzieła," t. I i II, Lwów, Księgarnia polska.

PODRÓŻE. G. Courtellmont: „Podróż do Mekki," przełożył K. Król (str. 70). Centnerszwer.

NAUKI. Długosz: „Dzieło Łonginowa: Pieśń o pułku Igora" (str. 61).

— Dr. F. Giedroyć: „Ustawy cechów cyrulickich w dawnej Polsce," ze źródeł archiwalnych (str. 50).

— Dr. Nosocomialis: „Potrzeby szpitalnictwa warszawskiego" (str. 48).

POLEMIKA. J. Moszyński: „Kilka słów w sprawie polemiki *Czasu* z *Hałyczaninem* (str. 15).

POEZYE

POGODNY ZACHÓD.

I.

Dzień smutny, dżdżysty; tuman padł na błonie,
Gdzie wierzby drgają pod chłostą szarugi,
A po ugorze ciężkie wlokąc pługi,
Tam i napowrót płowe brodzą konie.

Zachód rozkrzesał jasność w chmur oponie
I rozpromienił obłok siny, długi,
Buchając w świateł rubinowych strugi;
Dzień konający w szkarłacie zórz tonie.

Ruń szmaragdową rozpościera niwa.
Z miedzy w jar sunie mleczy fala złota
I białe kępy tratuje stokroci.

O, chwilo zgonu!.. tyś bardzo straszliwa,
Gdy dni ostatnie chmurnego żywota
Nagle nam dola pogodą ozłoci!

II.

Łuna roztacza ognisty krąg dalej.
O klomb czepiając się pasmem promieni,
Aleje parku z ukosa czerwieni,
A i mdłe listki biorą błysk metali.

Pod bzem kwitnącym siedzą narzeczeni,
Snadź swej miłości gniazdko z róż usłali —
Życiu tak radzi, młodością zuchwali,
Wtem echo strzałów szczęknęło w przestrzeni...

Wzlata gawronów rozkrakanych chmura;
Z gniazd swych wyparte, bijąc w czarne pióra,
W bezludne strony na oślep gdzieś pędzą..

Słabsze padają — zawiodły je loty —
W stawie już pełno tej ptasiej hołoty;
Smutnoż się spotkać z ich bezdomną nędzą!

III.

Precz stąd na łąkę! Tam ciszej, weselej —
Szkarłatnych blasków migoce ulewa,
Skróś kwitnącego prusząc białodrzewa,
Co puchem z kwiecia wysnutym się bieli.
  Choć kształt ma śnieżny, olbrzymiej kądzieli,
  Eolska harfa raczej z tego drzewa...
  Patrz, strun je tysiąc różowych przewiewa,
  Na jakich tylko grać mogą anieli.
Z szelestem liści srebrne płyną dźwięki
Melodyi dziwnie harmonijnej, miękkiej —
I w duszy milknie echo ugdz i trwóg...
  Grajcież mi bejnał, spokoju zwiastuny,
  Szlak mi rozświećcie zórz zachodnich łuny,
  Nieskończoność niech przestąpię próg!...

Ei—ka.

O PRAWDĘ.

Nasza geografia.

Naśmiewamy się nieraz z Francuzów, że chociaż to naród wielce wykształcony, nie znają jednak obcej historyi i geografii i częstokroć piszą dziwne rzeczy; ale nie zwracamy uwagi na to, co się u nas dzieje, we własnym domu. Nietylko domorośli korespondenci, ale, co ważniejsza, i nie które redakcye pism warszawskich o własnej historyi i geografii bardzo często nie pamiętają: a przecież słowo drukowane, nietylko świat obiega, ale i do potomności przechodzi. Takich kilka usterek poważam się tu przytoczyć ku ostrzeżeniu piszących i drukujących. Współpracownik *Kuryera Warszawskiego*, p. S., w opisie wycieczki lutnistów warszawskich do Kalisza, zauważył, że rzeka Warta „leniwo płynie" pod Kołem, a przecież samo jej nazwisko: od „wartki" ma się rozumieć „prąd," przekonywa, że tak nie jest, a nawet niektórzy lekarze z powodu właśnie szybkości i siły jej prądu zalecają kąpiele w niej dla tych, którzy do morza udawać się nie mogą. Tenże *Kuryer* w nr. 161, powtarzając za *Dziennikiem dla Wszystkich* wieść o utonięciu ucznia z gimnazyum kaliskiego, twierdzi, że wypadek zdarzył się w rzece Warcie płynącej pod Kaliszem; a przecież miejscowa rzeka Prosna nie raz, ale aż cztery razy przemywa swem korytem i kanałami miasto Kalisz, snadno więc można się o jej nazwie dowiedzieć — wpada ona wprawdzie do Warty pod Pyzdrami, ale, jak to mówią; stąd do owąd bardzo daleko. Podobnież *Kraj* w nr. 20, powtarzając za *Gazetą Polską* żale na zdrowotność Kalisza, utrzymuje, że płynąca pod Kaliszem rzeka Warta zanieczyszczaną bywa przez folusze, czyli młyny do płukania wełny i sukna. Biedna ta nasza staruszka, o której bystrości i przestrzeni wiedzieli nawet starożytni Rzymianie, dziś właśni rodacy — pomiatają nią jakby jakim efemerycznym strumyczkiem, przenosząc z miejsca na miejsce. Wreszcie *Tygodnik Ilustrowany*, w nr. 18 opisując dawny cmentarz przy szpitalu Dzieciątka Jezus, nadmienił, że w roku 1690 jako kacerz spalony na nim został Kazimierz Łaszczyński — przeciw temu w nr. 21 tegoż *Tygodnika* czytamy, że los ten według p. J. Łaszczyńskiego spotkał w dniu 31 maja 1689 r. jakiegoś Łysińskiego. Obydwa przyto-

czone tu nazwiska, według każdej obszerniejszej historyi narodu naszego, są mylne i z prawdą niezgodne, gdyż pastwiono się za panowania Obrońcy chrześciaństwa i Oswobodziciela Wiednia od Turków nad nieszczęśliwym Kazimierzem Łyszczyńskim, podsędkiem Brzezińskim, z województwa Rawskiego, za to, że czytając jakąś bałamutną filozoficzną, czy teologiczną rozprawę o bytności Najwyższego Twórcy, a niegodząc się z wywodami jej autora, napisał na marginesie „ergo non est Deus.“ Książka ta dostała się w ręce synów Lojoli: stąd oskarżenie i wyrok wydany przez sejm, który skazał nieszczęśliwego Łyszczyńskiego na ucięcie prawej ręki, wyrwanie języka i spalenie na stosie *).

Jarosław Konopnicki.

W DALI.

Lublin. *Lub. Gub. Wied.* piszą: W okręgu rządowej sprzedaży okowity, a mianowicie tam, gdzie przeważa ludność żydowska, zauważono rozwój tajnych gorzelni, oraz zwiększenie się liczby wypadków wykraczania przeciw przepisom akcyzowym. Władze są przekonane, że nadużyciom takim zapobiedz można, zachęcając osoby prywatne, oraz służbę policyjną do donoszenia o nadużyciach. Zachętą być może udzielanie nagród za doniesienie nawet jeszcze przed ukończeniem śledztwa sądowego. Z tego powodu zarządzający dochodami akcyzowymi w gub. Lubelskiej, Radomskiej i Kieleckiej stara się o wyjednanie odpowiedniego kredytu, przeznaczonego specyalnie na powyższe nagrody.

Kowno. Według *Gazety Polskiej*, odłużenie własności ziemskiej na Żmudzi wzrasta niepomiernie, a i nieruchomości miejskie coraz większą ilość długów dźwigają na sobie. Tak np. w r. 1889 ilość zastawionych dóbr ziemskich w bankach wileńskim i tulskim wynosiła łącznie 832; w roku zaś 1895, czyli w sześć lat później cyfra ta zwiększa się niemal o 2½ razy i wynosi już 1,959. W r. z. ruch był jeszcze większy. Ogólna przestrzeń zastawionej ziemi wynosiła już w roku 1895 — 441,299 dziesięcin, zaś suma odłużenia — rs. 17,729,100, nie wliczając w to majątków zastawionych w Banku szlacheckim, a których także jest sporo. Zubożenie dotyka nietylko większych właścicieli ziemskich, ale i włościan. Ci rozdrabniają do niemożności swoje schedy, co bardzo ujemnie na gospodarstwo wogóle wpływa. Ludność gub. Kowieńskiej wzrasta przytem szybko. Przyrost w r. z. wyniósł 13%. Wobec tego przeludnienie pewne w niektórych okolicach zauważyć się daje, a że przemysł stosunkowo jest mało rozwinięty, więc ilość proletaryatu rolnego coraz jest większa. Na zubożenie włościan kowieńskich wpływa niemało systematyczne utrudnianie przez rząd pruski od lat paru wywozu koni, trzody chlewnej, ptactwa itp. Nietylko dwory, leżące w pobliżu granicy, ale też i włościanie zajmowali się i zajmują handlem z zagranicą, nieraz na bardzo szeroką skalę. Obostrzone więc przepisy pruskie ujemnie bardzo oddziałały. Jak dalece ruch wywozowy inwentarza żywego jest wielki, dość powiedzieć, iż w r. z. przez kowieńskie komory celne przeprowadzono koni na sumę rs. 800 tysięcy; ptactwa na—450,000. O wiele stosunkowo niższą jest cyfra, stanowiąca wartość wywiezionych w tymże czasie przetworów rolnych i produktów przemysłu miejscowego. Wyniosła ona łącznie rs. 631 tys. Wogóle przemysł wiele bardzo pozostawia do życzenia. Wprawdzie według cyfr statystycznych jest 1,544 fabryk i zakładów przemysłowych, ale zatrudniają one zaledwie 5,063 robotników, co przeciętnie stanowi nieco więcej, niż trzech ludzi na jedną fabrykę. Produkcya roczna tych zakładów wynosi około 8 milionów rs. Gdy jednak od tej cyfry odrzucimy wartość wytworzonego w gorzelniach spirytusu, to na inne działy produkcyi fabrycznej pozostanie bardzo mało.—Postępowo gospodarstwo mleczne wykładane jest dziewczętom, kształcącym się w szkole p. Budbergowej w Poniemuniu. Zakład ten istnieje już od lat 8-iu i rzeczywistą korzyść przynosi. Co roku kończy szkołę kilkanaście dziewcząt, które natychmiast znajdują bardzo korzystne posady w rozmaitych punktach Cesarstwa. I w r. b. zakład skończyło 13 uczenic, a w tej liczbie 3 Polki. Przeważnie uczenice pochodzą z Kurlandyi, kilka jest zawsze ze środkowych gubernij. Kurs trwa lat dwa. Co do przyjęcia wymagane jest tylko wykształcenie elementarne. Wykładana jest w szkole w sposób praktyczny hodowla bydła, trzody chlewnej, drobiu, gospodarstwo mleczne, ogrodnictwo, pszczelnictwo, gotowanie, pranie, przyrządzanie wędlin, konserw, a nawet krochmalu, mydła, świec itd. Z nauk teoretycznych wykładane są: język rosyjski, arytmetyka, buchhalterya, nieco chemii gospodarskiej itd.

*) Szczegóły o tym wypadku znaleźć można, między innemi, w „Dawnej Polsce“ Krzyżanowskiego.

Na pomnik Mickiewicza:

Felicya Drozdowska z Razania	rs.	1 kop	—
Z. i W. Piotrowskie z Podola	„	2 „	—
J. S z Podola	„	3 „	—
P. St. A. i B. Fr., St. J., Józ. Sl. z Porchowa	„	16 „	—
Ignacy i Marya Cielewiczowie z Dźwińska (Dynaburga)	„	5 „	—
K. B. ze Sławuty	„	— „	50
Prof. O. Bujwid z Krakowa	„	5 „	—
Z Czerepina:			
Henryk Żawryd	„	1 „	—
Józef Hanser	„	1 „	—
Z Birska:			
J. Skowroński	„	25 „	—
L. Swirtun	„	2 „	—
M. Biernacki	„	2 „	—
B. Popławski	„	5 „	—
Z Kijowa:			
Jerzy Kociejowski	„	10 „	—
Al B.	„	5 „	—
Konstanty Niwiński	„	3 „	—
Honorata Janiszewska	„	1 „	—
U. R.	„	1 „	—
J. R.	„	1 „	—
K. R.	„	1 „	—
T. R.	„	1 „	—
L. R.	„	1 „	—
Pracownicy przy Poł.-Zach dr. ż. z Kijowa:			
W. Sniożko Błocki	„	5 „	35
A. Wojniłowicz	„	1	—
J. Radzikowski	„	— „	20
A. K. Chitrowo	„	— „	35
W. Glasser	„	— „	25
M. Czerwiakowska	„	— „	20
K. Snieżko-Błocki	„	— „	35
J. Maculewicz	„	— „	30
Razem	rs.	100 kop	50
Z poprzedniemi	„	450 „	—
Razem	rs.	550 kop.	50

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej pomiędzy stacyą towarową i przystankiem Włochy rozpoczęto badania wstrząśnień pociągów jadących. Badaniami przy pomocy odpowiednich przyrządów kieruje p. Wasiutyński, inżenier zarządu tejże kolei.

— W ciągu roku ubiegłego, jak donoszą dzienniki petersburskie, ministeryum spraw wewnętrznych wydało pozwolenie na założenie 35 nowych Towarzystw wiejskich straży ogniowych i zatwierdziło 43 ustawy Towarzystw wzajemnej pomocy w wypadkach pożaru. Te ostatnie powstały w guberniach nadbałtyckich.

— Lwów posiada 230 stowarzyszeń, a w ich liczbie: 25 ruskich, 25 żydowskich i jedno niemieckie, 47 zawodowych, 37 filantropijnych, 22 kluby, 8 kobiecych, 8 ekonomicznych, 6 politycznych, 10 naukowych, 5 muzycznych, 5 gimnastycznych, 5 stowarzyszeń studentów, 4 literackie, 2 religijne i 2 wojskowe.

— Wzorowa żydowska kolonia rolnicza powstanie w Besarabii. Fundusze na ten cel ofiarowują współwyznawcy kolonistów.

— Ministeryum skarbu rozesłało okólnik do kas rządowych, zalecający zawieszenie od dnia 27 czerwca wypłat w banknotach jednorublowych. Jest to zapowiedź wycofania z obiegu banknotów jednorublowych, a z czasem i trzyrublowych.

— Towarzystwo rolnicze w Mińsku stara się o zatwierdzenie Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych od ognia, gradobicia, pomoru bydła, tudzież asekuracyi życia, z prawem działalności w całem państwie.

Szkoły. Pod zarządem warszawskiej dyrekcyi naukowej było w r. z. w gub. Warszawskiej (nie licząc Warszawy) 82 szkoły miejskie z 3,648 uczniami i 2,410 uczenicami; po wsiach i osadach 573 szkół z 22,407 uczniami i 12,634 uczenicami. Ogółem w całej gubernii było 655 zakładów naukowych z 41,099 uczącymi się. Ze wspomnianej liczby odtrącić należy 7 prywatnych szkół żydowskich i 575 chederów z 12,558 uczniami. W ciągu roku sprawozdawczego otwarto 16 nowych szkół, zamknięto zaś 6.

— Władza naukowa udzieliła pozwolenia p. Kazimierze Mączyńskiej na otwarcie w Warszawie szkoły rzemiosł dla kobiet.

— Ministeryum rolnictwa wyznaczyło 60,000 rs. na urządzenie szkoły rolniczej dla dzieci Żydów w gub. Chersońskiej. Na potrzeby tego zakładu przeznaczono 300 dzies. gruntów i 10,000 rs. rocznie.

— Zapisy do wyższej szkoły rzemieślniczej w Łodzi rozpoczną się z dniem 28 b. m. i trwać będą do 27 sierpnia włącznie. Miejsca wakujące są tylko w klasach 1, 5 i 6. Egzaminy wstępne rozpoczną się 2 września. Pragnący się zapisać do szkoły powinni złożyć świadectwo urodzenia, pochodzenia i fotografię.

— Z powodu dopuszczenia do uniwersytetów wychowańców prawosławnych seminaryów duchownych, prasa rosyjska domaga się również dopuszczenia do uniwersytetów wychowańców szkół realnych i wogóle średnich, po złożeniu egzaminu sprawdzającego.

— Po wakacyach w gimnazyum męzkiem w Kielcach otwarty będzie oddział drugi klasy pierwszej. Z ogólnej liczby zapisanych do egzaminu przed wakacyami było kandydatów 72, z tych 53 z klasy wstępnej, 23 nowych. Do klasy pierwszej zapisano już obecnie 66 uczniów, a nadto innym jeszcze pozwolono zdawać egzamin po wakacyach.

Wystawy i zjazdy. Podczas wystawy w Brukseli odbędą się następujące zjazdy: 1) święcenia niedzieli; 2) prawodawstwa tyczącego się pracy; 3) tanich mieszkań dla robotników; 4) aptekarzy; 5) medycyny legalnej; 6) klimatologiczny; 7) przeciw pijaństwu; 8) tyczący się pomocy lekarskiej i zdrowotności na kolejach; 9) moralności publicznej; 10) podróżników kupieckich (wojażerów); 11) straży ogniowej; 12) ratunkowy; 13) kolonialny; 14) feministyczny; 15) Czerwonego Krzyża dla cyklistów; 16) budowniczych; 17) księgarzy-wydawców; 18) związku syndykalnego dla handlu i przemysłu; 19) pszczelnictwa; 20) przedsiębiorców; 21) neurologii, psychiatryi, elektryczności lekarskiej i hypnologii.

— Prof. Zamenhoff urządza międzynarodowy zjazd zwolenników mowy „esperanto.“

— W Sztokholmie odbył się kongres prasowy.

Teatr. „Odeon“ wystawił dwie nowości (farsy), „Spirytystów“ v. Mosera i „Tak to bywa“ K. Przybylskiego (autora dotąd nieznanego).

Gospodarka miejska. Na posiedzeniu komitetu kanalizacyjnego postanowiono wystosować podanie do J. O. Generał-Gubernatora o cofnięcie rozporządzenia p. Oberpolicmajstra, nakazującego woźnicom iść pieszo obok fur. Komitet kanalizacyi jednomyślnie orzekł, iż rozporządzenie to wpływa ujemnie na roboty miejskie, bo pociągnęło za sobą podrożenie materyałów budowlanych; okazał się nadto wielki brak furmanek, gdyż woźnice nie mają siły w czasie upału przez dzień cały utrzymać się na nogach. Wiadomość tę podaje *Kuryer Warszawski*. Wskutek tego rozporządzenia, które wywołało zastój ekonomiczny w Warszawie i szerokich jej okolicach, a nadto, oprócz wyczerpania sił woźniców

naraża ich na niebezpieczeństwo zmiażdżenia między wozami — pisaliśmy w *Prawdzie* dość szczegółowo. Życzyć należy, ażeby niniejsze zabiegi komitetu kanalizacyjnego jak najprędzej były uwzględnione.

Zdrowie publiczne. Z Kairu telegrafują, iż w Suezie gwałtownie wybuchła dżuma. We wszystkich portach europejskich zaprowadzona będzie kwarantanna dla okrętów, nadchodzących z Suezu.

Koleje i komunikacye. Długość szyn wszystkich kolei na świecie w r. 1895 wynosiła 688,000 kilom., z których połowa przypada na Amerykę, 245,000 na Europę, 42,000 na Azyę, 22,000 na Australię i 13,000 na Afrykę. Od r. 1889 przyrost roczny maleje. Z krajów europejskich największy przyrost, bo dosięgający 4,600 kilom. rocznie, czyli 15%, wykazuje Rosya, później idzie Francya, Austro-Węgry i Niemcy. Najbardziej zmniejsza się przyrost w Ameryce, gdzie z 15% spadł na 10.

Katastrofy. W pobliżu Kołomyi skutkiem ulewy załamał się most i kilka wagonów wpadło w wodę. Zginęło kilka osób; ranionych kilkanaście. Okolice Kołomyi zniszczone. Straty ogromne.

Zmarli. Henryk Waśniewski (lat 36), weterynarz autor broszur i rozpraw specyalnych.

Odpowiedzi Redakcyi.

M. R. Z. Oba utwory są dość słabe — drukować ich nie będziemy.

Panu W. Kr. Przez dwa miesiące letnie redaktor nie przebywa stale w Warszawie.

Z. W. w Moskwie. Utwory Pańskie nie tłomaczą się jasno i nie zdradzają oryginalnego talentu.

Stałej prenumeratorce. Na wszystkie te pytania, mógłby odpowiedzieć tylko ktoś, mieszkający w Petersburgu i mogący w kancelaryi instytutu zasięgnąć żądanych wiadomości. Skądże my takie szczegóły znać możemy?

Panu Antoniemu S. w Niem. Pomijamy błędność twierdzeń Pańskich, jakoby Warszawa była siedliskiem największej nędzy, ale czego Pan żąda: ażeby fundusze, zebrane na pomnik, przeznaczyć samowolnie na co innego? Zapomniał Pan, że ci, co dają pieniądze, dają je pod warunkiem określonego życzenia. Wogóle wiercenie tej sprawy „rzeczami pożyteczniejszemi“ jest czczem mędrkowaniem, które z równą słusznością można zastosować do każdego innego przedsięwzięcia. Bo zawsze ktoś znajdzie „ważniejsze.“

J. P. Przytoczone przez Pana dowody użyteczności wegetaryanizmu są znane — i w części zostały uznane, a w części odparte. Sprawy tej nie możemy ani wznawiać króciutką obroną Pańską, ani ani rozstrzygać jej równie krótkim wyrokiem naszym.

Panu Z. T. w Orad. Kiedy będzie otwarta szkoła dentystyczna p. Mierkowskiej — nie wiemy. Co do drugiego pytania: życie drogie, a zarobkowanie lekcyami bardzo trudne.

Panu Juliuszowi Bł w Chodorkowie. Artykuł Pański, powtarzający myśl znane, nie nadaje się do *Prawdy*. Odesłać go nie możemy, gdyż nie zdołaliśmy w podpisie odczytać Pańskiego nazwiska.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 20 Іюня 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.